



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEC

ROK 1924. WARSZAWA, 11 PAŹDZIERNIKA

CENA NUMERU 1 zł. 20 gr

T RE Ś Ć N U M E R U :

Alkoholizm a dziecko i młodzież — Jan Szymański. O reformę szkolnictwa żeńskiego — K. S. W sprawie służby domowej — E. K. Stary Sącz (dok.) — N. Samotyłowa. Miasta i kobiety (wrażenia) — Marja Kuncewiczowa. Wiersze — Stefania Podborska-Okolów. O parobku, studencie i czarownicy — M. N. Drogami duszy (powieść) c. d. — Helena Ceysingerówna. Romantyczna przygoda ironisty (nowela — dok.) — Paul Bourget (tłom. M. D.). Marja Wołkońska i Teresa Confalonieri (c. d.) — K. Bielańska. Poetka legend — Dr. M. Kastarska. Cel i zadania pedagogii (c. d.) — Emilia Tecka. Kobieta w świecie i w domu — Z. B. Refleksje na czasie — Kazeł. Wychowanie fizyczne i życie sportowe kobiet — I. Fabrycowa. Książki dla dzieci — Z. Szmydtowa. Z Teatrów — p-a. Ubierajmy same nasze kapelusze (—) Wskazówki praktyczne: 1) Przyjęcie — W. D. 2) Jesienne pielęgnowanie roślin pokojowych — Pani Elżbieta. Nadesłane do Redakcji. Dodatek powieściowy: „Czar Kwietniowy” (przekład z angielskiego) — przez autorkę „Elżbiety i Jej Niemieckiego Ogrodu.” Dodatek robót i ubiorów. ARKUSZ WZORÓW.

ALKOHOLIZM A DZIECKO I MŁODZIEŻ

Rodzice, co odpowiecie Sędziemu Chrystusowi, który powierzył wam dziatki wasze, abyście je żywili i dali dobry przykład, kiedy to, co wam Bóg dał, trawicie na pijatykach i dajecie zgorzenie?

Ś w. B a z y l i.

Zdawałoby się, że dwa pojęcia: alkoholizm i dziecko wykluczają się wzajemnie — tak być powinno. Ciężka jednak rzeczywistość życiowa stawia je bezpośrednio obok siebie. Rzeczywistość ta woła do nas, że alkoholizm wśród dzieci i młodzieży to fakt, fakt realny.

Fakt ten jest tak dalece groźny, że mówić o nim należy jaknajgłośniejszy, aby obudzić społeczeństwo do wy-

teżonej walki z tem zgubnym i strasznym zjawiskiem.

Wszystkie przedwojenne statystyki nasze zgodnie stwierdzały, że dzieci polskie piją. Statystyk tych było kilka: Dr. Hornunga i Dr. Kaczorowskiego we Lwowie, Dr. Knapego, Dr. M. Roszkowskiego, pp. Jodkowskiego i Glassa w Warszawie, Dr. St. Skalskiego w Łodzi, prof. T. Czapczyńskiego w Stanisławowie i p. Józefa Ciembroniewicza w Bochni. — Ogólny wynik tych statystyk był bardzo dla nas smutny — olbrzymia większość dzieci używała napojów alkoholowych. Naprzykład Dr. Kaczorowski zbadał 10.000 dzieci szkół powszechnych we Lwowie i okazało się, że 8 do 20% dzieci piło napoje wysokowe codziennie, czasem piło od 50 do 88% i nie pijących nigdy było więcej

niż 5,1 do 12%. — Statystyka Dr. Marjana Roszkowskiego wykazała rzeczy wprost straszne:

Oto według tablicy cyfrowej, ułożonej na podstawie 2.500 własnych spostrzeżeń Dr. Roszkowskiego z pośród dzieci m. Warszawy, zgłaszających się do jego ambulatorjum po poradę lekarską, otrzymywało alkohol c z a s a m i:

w I kwartale życia	2,35%	dzieci
„ II „ „	6%	„
„ III „ „	10%	„
„ IV „ „	19%	„
w wieku 1 — 2 lat	20%	„
„ „ 2 — 4 „	35%	„
„ „ 4 — 6 „	46,3%	„
„ „ 6 — 8 „	47,9%	„
„ „ 8 — 10 „	48%	„
„ „ 10 — 12 „	51%	„

Otrzymywało alkohol często, a nawet upijało się:

w wieku od	6 — 8 lat	1,6%	dzieci
"	"	"	"
"	8 — 10	2,2%	"
"	"	"	"
"	10 — 12	4%	"
"	"	"	"
"	12 — 14	6%	"
"	"	"	"

Matki dawały alkohol (według ich słów) dla wzmocnienia, poprawienia snu lub rozgrzania, a nawet wprost dla przyzwyczajania.

A teraz uprzytomnijmy sobie te skutki, jakie wywiera alkohol nawet w dawkach niewielkich na organizm dziecięcy; oto, co mówi Dr. M. Roszkowski *): „Nauka uważa obecnie alkohol za jad przeważnie nerwowy. Podług badań prof. Danilewskiego mózg najwięcej pochłania alkoholu, potem idzie wątroba, a następnie mięśnie, nerki i serce, na które to narządy alkohol wywiera wpływ wysoce szkodliwy i drażniący. Już w małych dawkach alkohol upośledza wszystkie czynności psychiczne, a tem samem obniża dokładność pracy umysłowej, w większych prowadzi do zamroczenia władz umysłowych, przyczem zanikają wyższe ośrodki refleksji i sądu, prowadząc do zbrodni, samobójstw oraz do t. zw. obłądzenia opilczego. Jeżeli alkohol wywiera tak zgubny wpływ na ustrój dorosłego człowieka, to z góry można powiedzieć, iż wpływ jego na rozwijający się organizm dziecięcy będzie jeszcze szkodliwszy. I rzeczywiście, badania psychofizjologiczne prof. Kraepelina i jego szkoły wykazują niezbicie, że już małe ilości alkoholu obniżają sprawność umysłową. Dzieci tracą pamięć, zdolność pojmowania, ulegają szybkiemu wyczerpaniu umysłowemu. Wybitni wychowawcy zaznaczają jednoznacznie, że i charakter dziecka pod wpływem alkoholu ulega niekorzystnej zmianie: dzieci stają się nieposłuszne, krnąbrne tracą poczucie wstydu i godności własnej.

Niestety, rodzice, głusi na przestrogi nauki, dają dzieciom piwo i wino, a nawet wódkę niby dla „wzmocnienia” organizmu. Obserwacje lekarzy i pedagogów wykazują, że dzieci, dostające alkohol, tracą apetyt, stają się niespokojne, drażliwe, źle śpią, w nocy oddają urynę w łóżko i nie poddają

się przestrogom i napomnieniom... wreszcie częste używanie napojów wysokowych chociażby w najmniejszych ilościach osłabia organizm dziecka, czyni go mniej odpornym względem szkodliwych czynników zewnętrznych, bardziej skłonny do chorób, zwłaszcza do gruźlicy”.

Wyżej przedstawiliśmy w kilku słowach obraz alkoholizmu wśród dzieci w Polsce przed wojną; a jak ta sprawa przedstawia się obecnie? Oto z artykułu *) d-ra B. Miklaszewskiego w Łodzi dowiadujemy się, że alkoholizacja dzieci w r a s t a. Według badań, przeprowadzonych wśród dzieci szkół powszechnych w Łodzi na ogólną liczbę 2,500 dzieci badanych nie zna alkoholu zaledwie 13,5%, 50,4% dzieci używa alkoholu rzadko, dorywczo, dosyć często używa 24%, wreszcie systematycznie używających alkoholu było 7,6%, do tej kategorii należą też dzieci, które według własnych ich zeznań były nieraz pijane; w kilku wypadkach skonstatowano nawet, że dzieci w tym stanie przychodziły do szkoły.

„Pod wpływem trucizny alkoholowej, pisze dr. B. Miklaszewski, wyrośnie pokolenie ludzi nadwątłych, częstokroć z objawami zwyrodnienia moralnego—wykolejeńców życiowych. Przez literaturę przeciwalkoholową, jak czerwona nić przewija się myśl, że najważniejszym zadaniem w dziedzinie walki z alkoholizmem, jest zwalczanie go wśród dziatwy i młodzieży.”

W Wilnie, według referatu Dyrektora Macierzy Szkolnej, p. Stemlera wygłoszonego na Zjeździe Narodowej Organizacji Kobiet w Warszawie w roku bieżącym, 40 dzieci 7-letnich ze szkoły powszechnej — badanych w sprawie używania alkoholu, udzieliło następujących odpowiedzi: nie zna smaku alkoholu . . . 1 używa napojów alkoh. „często” . . . 26 używało ich „wczoraj” . . . 10 piło je „dziś rano” . . . 3

Gdy się słyszy taką statystykę—przerażenie ogarnia na myśl, co wyrośnie z tych dzieci!

A teraz jeszcze słów kilka poświęćmy omówieniu najważniejszych wyników badania statystycznego alkoholizmu wśród dzieci szkół po-

wszechnych i średnich w Warszawie, przeprowadzonego w roku bieżącym przez księdza kapelana Sopoćkę*).

Ks. Sopoćko przeprowadził badania swe w 4 szkołach powszechnych i 4 średnich, razem zbadał 850 chłopców 513 dziewcząt. Zbadał również 160 studentów jednej ze szkół wyższych.

W szkołach powszechnych chłopcy używający napojów alkoholowych stanowili 69,5%, dziewczęta 61,5%, czyli razem 65,7%. (Wszystkie 8 zbadanych 7-letnich—piły!) piją te wszystkie dzieci przeważnie wódkę — czyli napój, ze względu na wielką zawartość alkoholu najbardziej szkodliwy (70% odpowiedzi), 10% zaś oświadczyło, że używa „wszelkich trunków” (były to przeważnie dzieci szynkarzy i restauratorów). Kilkoro dzieci przyznało się do używania denaturatu!! Większość dzieci nie pamięta, kiedy zaczęły pić. Z odpowiedzi jasno wynika, że początek używania alkoholu powstał pod przymusem otoczenia domowego. Przeszło 50% chłopców i dziewcząt oświadczyło, że piją „chętnie”. Przeważająca liczba (ponad 80%) pije w święta, przyczem do świąt często zaliczają popołudnie sobotnie „po wypłacie.” Codziennie pije 4,4% chłopców i 8,3% dziewcząt!.. Badania przeprowadzone były przeważnie w dzielnicach robotniczych.

Niezmiernie charakterystyczne jest badanie postępów szkolnych dzieci (potwierdzające zasadniczo wyniki wszystkich tego rodzaju niezmiernie licznych badań zagranicą).

P O S T Ę P Y

	b. dobrej	dobre	dostat.	złe
Chłopcy pijący . . .	0%	30,6%	48,7%	21,7%
Dziewczęta pijące . .	1,3%	32,3%	41,48%	17,9%
Chłopcy nie pijący . .	3,9%	63,1%	32%	1%
Bziewczęta nie pijące	4%	42%	41%	13%

Brak miejsca nie pozwala na streszczenie, nawet pobieżne wyników badań ks. Sopoćki w szkołach średnich. Z ogólnej liczby zbadanych 528 uczniów i uczenic piło 66,5%. Ale rzecz wysoce charakterystyczna: ks. S. napotkał w pracy swej ze strony kierowników szkół średnich na bar-

*) Alkoholizm u dzieci. „Walka z alkoholizmem” r. 1913.

*) Alkoholizacja dzieci szkół powszechnych, „Gmina” Nr. 6—8, 1924 r.

*) Referat p. t. „Wyniki badań w sprawie alkoholizmu wśród dziatwy szkolnej” wygłosił ks. kapelan Sopoćko dn. 1. X. 1924 r. w T-wie badań nad dziećmi. Dzięki uprzejmości Sz. Autora korzystamy tu z rękopisu odczytu.

dzo wielkie przeszkody! Rzecz niesłychana, ale niestety, prawdziwa. Wolimy jeszcze groby pobielane więcej niż... prawdę. A Ministerjum Oświaty wydaje okólniki, zalecające zwalczanie alkoholizmu przez szkołę.

Na podstawie swych badań autor dochodzi do wniosku:

„Główną przyczyną szerzenia się alkoholizmu wśród dzieci jest przykład najbliższego otoczenia, a przede wszystkim rodziców, którzy nawet nieraz rozmaicie do tego swe dzieci zmuszają“. W walce z klęską alkoholizmu wśród dzieci autor nadaje szczególne znaczenie rozwojowi sportu. Najzupełniej słusznie. Ale i nasz sport musi być zupełnie wolny od alkoholizmu, gdyż w przeciwnym razie szkodliwym się staje. „Państwo, kończy ks. Sopoćko, powinno walczyć z alkoholizmem, ale u nas istnieje monopol spirytusowy, a wskutek tego w interesie państwa jest nie walka z alkoholizmem, ale za przykładem carskiej Rosji jak największe ciągnięcie z niego zysków“.

Cóż robić, aby zwalczyć alkoholizm wśród dzieci, a w ten sposób przygotować grunt dla istotnie skutecznej walki z alkoholizmem w przyszłości?

Oto należy uświadamiać społeczeństwo, rodziców i wychowawców o szkodliwości używania alkoholu. Dzieci winny słuchać wykładów obowiązkowych z tej dziedziny. Należy zakładać organizacje abstynenckie wśród dzieci, (w Anglii do abstynenckiego „Związku nadziei“ należy 3500000 dzieci i młodzieży), należy, aby Państwo popierało wszystkie takie wysiłki.

Należy [dziś bardzo dużo innych rzeczy robić: należy budować ludzkie mieszkania, domy ludowe, drukować i rozpowszechniać wydawnictwa przeciwalkoholowe i t. d. i t.]. Ale ponad tem wszystkim góruje jeden sposób niezawodny i najpewniejszy: przykład własny. Jeżeli w rodzinie panuje absolutna trzeźwość, niemal wykluczonym jest, aby dziecko oddało się alkoholizmowi. Wykład i nauki nauczycielskie tylko wówczas będą skuteczne, gdy płynąć będą z głębokiego wewnętrznego przekonania, opartego na abstynencji własnej i gruntownej znajomości przedmiotu. — Wszelkie inne sposoby walki z alkoholizmem opierać się winny na tym podstawowym warunku: trzeźwości domu i nauczyciela.

Z referatu ks. Sopoćki dowiadujemy się jeszcze jednej smutnej rzeczy: oto wśród 160 studentów pewnego Wyższego Zakładu naukowego w Warszawie nie było ani jednego abstynenta...

Jeżeli uprzytomnimy sobie fakt, że zachodzi ścisły, przyczynowy związek pomiędzy samobójstwem, a alkoholizmem — nasuwa się myśl, czy nie tu należy szukać jednej z przyczyn przerażającego faktu tak licznych samobójstw wśród dzieci szkolnych i młodzieży?

Słusznie mówi Dr. Szczęsny Bronowski *) „Ludzkość, rządy i narody jeśli się troszczą o dalszy swój rozwój i swą pomyślniejszą przyszłość,

*) Dlaczego dzieciom nie należy dawać alkoholu? „Walka z alkoholizmem“ rok 1913.

winny całą swą energję państwową i społeczną skierować ku zwalczaniu wszelkimi środkami alkoholizmu wśród dzieci i u dorosłych. Młode i rozwijające się jądro narodu musi być zdrowe i nie zatrute w zaraniu rozwoju tak silnym czynnikiem degeneracyjnym, jakim jest alkohol; inaczej cała przyszłość narodu skazuje się na zagładę“.

Żaden hodowca zwierząt nie poi małych alkoholem — bo wie, że wskutek tego zniszczą i zginą, ale pan stworzenia, szczytujący się swym rozumem, zatruwa z jakąś pasją dzieci swe — częstokroć już w łonie matek — trucizną alkoholową. Nie wszędzie jednak. Szereg społeczeństw prowadzi zaciętą walkę z tym szkodnikiem, prowadzi ją skutecznie w imię idei ratunku i poprawy rasy.

Jakim ma być nasz stosunek do tych wysiłków? Czy z głupkowskim uśmiechem cieszyć się z każdej wiadomości o trudnościach tej walki, czy też stanąć w szeregach walczących? Dla umysłów trzeźwych i serc czujących wątpliwości w wyborze drogi nie może być. — Pięknie mówi o takich ludziach znakomity kardynał Manning:

„Szczęśliwi są ci, co złożyli przyrzeczenie zupełnej wstrzeźliwości nie z własnej potrzeby, lecz w tym celu, by drugich słowem i przykładem ratować od śmierci duchowej. Szczęśliwe są rodziny, w których ojciec i matka kroczą drogą zupełnej trzeźwości, szczęśliwe dzieci, które napoi odurzających nigdy nie poznały“.

Jan Szymański

O reformę szkolnictwa żeńskiego

Czytelniczki „Bluszczu“, które zechcą wypowiedzieć się w ważnej sprawie szkolnictwa żeńskiego w Polsce — proszone są o nadsyłanie swych spostrzeżeń i uwag pod adresem Redakcji.

(Przyp. Red.)

I.

W imię zasady, że „nie odrazu Kraków zbudowano“ i trudne sprawy zacząć trzeba od skromnych początków, ośmielam się zainicjować dyskusję na temat średniego szkolnictwa żeńskiego. Mam nadzieję, że w ślad za tem prędzej

czy później odezwie się cały szereg głosów poważnych i kompetentnych, bo kwestja ta dojrzała do dyskusji od dawna.

Jeszcze przed wybuchem wojny wystąpiło Tow. Naucz. S. W. we Lwowie z projektem przeprowadzenia ankiety w sprawie reformy gimnazjów żeńskich. Przeszkodziła temu wojna i wszystko to, co po niej przyszło. A jeśli w Polsce odrodzonej dotychczas nikt w tej sprawie nie wystąpił, to dzieje się to dlatego, że ciągle jeszcze jest dużo spraw ważniejszych do załatwienia. Boć przecież zagadnienia, dotyczące się spraw kobiecych, jakiegokolwiekby one były, nie mogą nigdy być ani zbyt ważne, ani zbyt pilne!

A jednak jestem przekonana że choć niewiele osób zareaguje na to czynnie, to słowa te wywołać muszą pewien oddźwięk w szerokich kołach matek, nauczycieli, a nawet samej młodzieży żeńskiej. A to już wielka będzie korzyść. Zacznie się o tem myśleć, potem mówić — aż wreszcie przyjść musi chwila działania.

Kiedy przed laty pierwsze „emancypantki“ upomniały się o prawo do wyższych studjów, nie chciały, ani nie przypuszczały, aby dążenia ich przybrały kiedyś taki charakter, jaki dziś posiadają. W tej walce z całym otoczeniem — nieraz bardzo ciężkiej i wyczerpującej młodociane siły zapalonych entuzjastek, chodziło im

tylko o zdobycie możności kształcenia się. Wchodziły tu w grę prawie wyłącznie zapał i pragnienie nauki, a nie, jak powszechnie niesłusznie mniemano, chęć naśladowania mężczyzn.

Jeśli przyjęto typ szkoły męskiej, to poprostu dlatego, że ta forma była pod ręką gotowa. Ani społeczeństwo — obojętne, a nawet niechętnie wyższym studjom kobiecym — ani tem mniej dwunasto, trzynastoletnie „emancypantki” nie mogły myśleć o przekształceniu i odpowiednim przystosowaniu typu szkolnego. Co się zaś tyczy przełożonych i nauczycieli tych pierwszych gimnazjów żeńskich, to trzeba przyznać, że poza bardzo nielicznymi wyjątkami chodziło im nietylko o kwestję zasadniczą, ile raczej o sprawy czysto osobiste. Dla przełożonych była to przeważnie gra konkurencyjna wobec innych zakładów wychowawczych, dla nauczycieli zaś źródło zarobków, bo zresztą zupełnie głośno i niedwuznacznie potępiali wyższe studia kobiece.

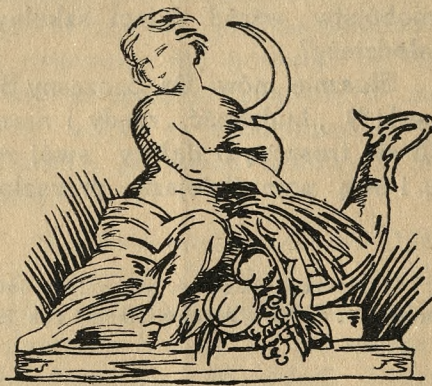
Gdyby dziś rozpisać ankietę, i zapytać te wszystkie poważne lektorki, profesorki, urzędniczki i t. d., co było kiedyś bodźcem, który je pchnął na tę drogę, odpowiedziałyby niezawodnie, że przedewszystkiem — pragnienie wiedzy, poznania, nauki, że nie przyświecały im żadne ogólne hasła feministyczne. Jeśli świadomie czy nieświadomie myślały o uogólnieniu swoich dążeń, to odnosiło się to chyba tylko do tych wyjątków, które, jak one, wykażą nieprzeciętne zdolności i powołanie, a przedewszystkiem zupełnie świadomą chęć wyższych studjów.

Nie ich wina, że zostały źle zrozumiane, że życie poszło innymi torami. Jest rzeczą wprost zadziwiającą, jak szybko i jak radykalnie nastąpiła zmiana w tym kierunku. Ci sami rodzice, którzy jeszcze starszej córce stawiali ogromne trudności, aby ją tylko odwieść od chęci kształcenia się, teraz poruszają niebo i ziemię

przez protekcję, korepetycje i t. p., aby młodszą córkę zmusić do przejścia przez gimnazjum i zdania matury. Doszło nawet do tego, że nie mogąc znieść tego przymusu, niektóre dziewczęta popełniają samobójstwo! Oto klasyczny przykład tego, co się nazywa wpadnięciem w przeciwny ekstrem. Wszecchpotężna moda, chęć naśladowania, a zresztą zupełnie zrozumiała konkurencja życiowa na tle stosunków rodzinnych, towarzyskich i społecznych musiały zrobić swoje.

Dziś nie czas już na dyskusje: czy dobrze jest, aby kobiety się kształciły, czy nie. Sprawa ta wyrosła już sama ponad nasze głowy. Trzeba się liczyć z faktem dokonanym. Ruch ten objął najszerze masy i stał się zjawiskiem powszechnem, a wskutek tego, chcąc nie chcąc, społeczeństwo stanęło wobec zagadnienia doniosłego i bardzo pilnego: w jaki sposób należy kształcić szerokie zastępy dziewcząt, aby zarówno im samym jak i społeczeństwu zapewnić przez to możliwie najwięcej pożytku i szczęścia? Jaki dostosować typ szkolny, jaki program i jakich nauczycieli?

Nie ulega bowiem wątpliwości — i na tym punkcie chyba wszyscy są



zgodni — że ten typ szkoły, jaki dziś mamy, nie jest odpowiedni. Nie mówiąc o jego brakach i wadach ogólnopedagogicznych, trzeba przyznać, że w zastosowaniu do potrzeb wychowawczych szerokiego ogółu młodzieży żeńskiej zupełnie się nie nadaje.

Punktem wyjścia dla reformy szkolnictwa średniego żeńskiego powinna być zasada, że należy typ szkoły przystosować do natury, do potrzeb i do przyszłych zadań życiowych dziewcząt. To też, nie wchodząc zresztą w rozmaite szczegóły indywidualizacji, czy też specjalizacji, wskazanych względami natury pedagogiczno-organizacyjnej, trzeba będzie zasadniczo pomyśleć o trzech rodzajach szkół średnich żeńskich. A więc: szkoła średnia, przygotowująca do wyższych studjów, a w dalszym ciągu do zarobków umysłowych dla dziewcząt szczególnie uzdolnionych i zamiłowanych, które z tych czy owych powodów będą chciały i mogły poświęcić się pracy naukowej. Byłby to typ zbliżony do dzisiejszego gimnazjum, tylko odpowiednio ulepszone i zarówno programem jak i organizacją więcej zastosowany do specyficznych właściwości fizycznych i psychicznych dziewcząt. Drugim typem byłaby szkoła średnia zawodowa, uwzględniająca te wszystkie rodzaje zajęć praktycznych, które nadają się dla kobiet. Byłby to rozmaite odmiany szkół przemysłowych i handlowych, tylko z wyższym poziomem ogólnego wykształcenia, niż obecne — i z bardziej pogłębionym programem wykształcenia zawodowego. Przechodzę wreszcie do typu najważniejszego, bo dla najszerzych warstw młodzieży żeńskiej przeznaczonego. Ten rodzaj szkoły niema jeszcze precedensu. Dotychczas nikt nie pomyślał o tem, aby stworzyć szkołę ogólno-kształcącą, dostosowaną do istotnych potrzeb życia ogółu młodzieży żeńskiej.

(c. d. n.).

K. S.

W sprawie służby domowej

Poruszona przez panią Grossek-Korycką sprawa służby domowej zainteresowała bodaj że wszystkie Czytelniczki „Bluszczu”. Posypały się odpowiedzi, przesiąkłe żalem i przepełnione narzekaniami. Były nawet robione próby, pisemnie tylko niestety, rozstrzygnięcia tej kwestji radykalnem usunięciem bolączki, rozcięciem tego wrzodu, przez pozbycie się zupełne służby w domach mniej zamożnych i zastąpienie jej przez pracownice inteligentne u zamożniejszych. W Ameryce klasa średniozamożna obywa się zupełnie bez służby domowej, ale istnieją tam tysiące udogodnień, ułatwień życiowych, umożliwia-

jących egzystencję, ale my ich zupełnie nie mamy. W naszych warunkach, nie tylko na prowincji, co tak trafnie zobrazowała p. Jacobson-Skrodzka, lecz nawet w stolicy, życie po wojnie ułożyło się tak dziwnie, że nie tylko ułatwień nie przybywa, lecz coraz nowe wypływają utrudnienia. Naprzykład sprawa węgla: dawniej stróż za pewną opłatą przynosił go z piwnicy, dzisiaj „pan dozorca” ani myśli w taki poniżający sposób zarobkować, a pani domu, chociażby najbardziej chciała sobie usłużyć — siłą na to zabraknie. Mleko w lecie można zdobyć tylko o siódmej godzinie rano, za chlebem przy często powtarzają-

cych się strajkach — wciąż są ogonki, kilka godzin się nieraz traci na zdobycie bochenka. A wreszcie blachy nasze, przy których nie tyle się ugotuje, ile się umorusa, a wynoszenie śmieci na dwór do „aromatycznej” skrzyni, a tysiące, tysiące innych, przykrych, życiowych drobiazgów, które powodują, że w najmniej zamożnych, inteligentnych rodzinach nie sposób się obejść bez wyręczycielki.

Ogromnie sympatyczny jest projekt p. Grossek-Koryckiej zastąpienia służby — pomocnicami inteligentnymi, zachodzi tylko pytanie, skąd takie pracownice dostać? Chętnie wierzę

że jest cały szereg kobiet z inteligencji, tak maltretowanych przez życie, że podjęłyby się najcięższych robót, ale czy będą miały po temu siły, a nawet i umiejętność?

Nasze służące nic lub prawie nic nie umieją, ale niech która z pań poprobuje wyszorować podłogę, uprać ścierkę, wynieść kubek z popiołem, a przekona się, że zużyje na to dziesięć razy tyle sił, co dziewczyna, od dziecka do ciężkiej pracy przyzwyczajona. Zresztą niechby nie miała racji i niechby się okazało, że dobre chęci i wrodzona inteligencja przewyciężą trudności i że inteligentne pracownice potrafią spełniać ciężkie posługi, powstanie pytanie, ile się tych inteligentek zbierze, czy liczba ich choć trochę na szali zapotrzebowania służby zaważyć będzie mogła? Wszak w Warszawie samej liczy się służby domowej od 60 do 70 tysięcy, a masa służących przy meldunku ukrywa swój zawód, uważając go za poniżający i zapisuje się jako krawcowa, przy rodzinie, z własnych funduszków i t. p.

Nie próbując na razie nawet wypowiadać zdania w kwestji tak trudnej i zawiłej, chciałabym się przyczynić do wszechstronnego jej oświetlenia przez bezstronne i nieuprzedzone zbadanie tego, co się robi, aby dostarczyć kontyngensu umiejętnej służby, podnieść jej poziom moralny. W tym celu zwróciłam się do przewodniczącej najstarszego i najliczniejszego Związku zawodowego służby domowej, pani doktorowej Heleny Zaborowskiej. Niestety źle trafiłam, bo w dzień jej wyjazdu do Ameryki, — skierowała mnie jednak ona do założyciela i patrona tego Związku, ks. posła Gąsiorowskiego, który z całą uprzejmością udzielił mi wyczerpujących wiadomości o celach i działalności Związku. Nie był to właściwy wywiad, składający się z pytań i ścisłych na nie odpowiedzi, lecz zwykła rozmowa, wiadomości z niej zaczerpnięte postaram się tutaj streścić.

Związek Stowarzyszenia służących katolickich został założony w r. 1906 w Warszawie, ma na celu niesienie pomocy materialnej swoim członkom, oświatę ich, dawanie wykształcenia fachowego i pomoc moralną. Związek ma centralę w Warszawie i dwadzieścia oddziałów na prowincji. Oddział warszawski liczy przeszło trzy tysiące członków i rozwija energiczną działalność, skierowaną ku polepszeniu bytu i uzyskaniu jak najlepszych warunków służby dla stowarzyszonych (o pracodawcach oczywiście się nie myśli, przeciwnie zarysowuje się pomiędzy pracownikami i chlebodawcami pewien antagonizm). Istnieją więc przedewszystkiem aż dwie szkoły kucharskie, jedna w domu Towarzystwa (Stowarzyszenie ma dom własny!), Kredytowa 14, i druga w Alejach Jerozolimskich.

W szkołach tych pracuje pewna ilość pracownic stałych w charakterze instruktorek, t. j. personel stały, i przybywają coraz to nowe pracownice, chcące się wykształcić w sztuce kucharskiej; ten element zmienny, napływowy, po nabyciu pewnej sumy wiadomości opuszcza szkołę i idzie na posady jako wykwalifikowane kucharki. Szkoły obie mają charakter przedsiębiorstw dochodowych i mają jadalnię dla publiczności.

Przychodzi mi przytem na myśl, że charakter kuchni z konieczności musi być nieco jednostronny, restauracyjny, i że taka kucharka zupełnie nie potrafi się zastosować do ilości i proporcji, wymaganych w prywatnym domu. Może się mył — w każdym razie muszę w przyszłości otrzymać pozwolenie dokładnego zwiedzenia tych szkół i bliższego pozajomienia się z ich działalnością, czem nie omieszkałam się podzielić z moimi Czytelniczkami.

Związek posiada schronisko na czas braku pracy, gdzie pracownice mogą w ciągu dwóch tygodni przebywać bezpłatnie, odpocząć, uprać bieliznę, uporządkować garderobę.

Fama głosi, że leniwe służące zbyt często z tego schroniska korzystają. Ale fama może być fałszywa.

Związek nabył obszerną willę za miastem, gdzie organizuje się schronisko na 200 osób, uniezadłużonych do zarobkowania. Schronisko to ma za dość uczynić gwałtownej potrzebie zabezpieczenia dachu nad głową steranym pracą całego życia, a nie mającym rodziny i opieki członkom Stowarzyszenia. Związek ma dwa biura pośrednictwa pracy, jedno w domu związkowym, Kredytowa 14, drugie — plac Aleksandra 13; członkowie korzystają z tych biur bezpłatnie. Oprócz tego istnieje szpitalik dla rekonwalescentek, w czasie choroby oprócz zwykłych świadczeń Kasy chorych, stowarzyszone otrzymują pieniężne zapomogi od Związku, nakoniec mają zapewniony pogrzeb bezpłatny. Składka miesięczna wynosi 1 złoty.

Są tam jeszcze kursy dokształcające między ósmą, a dziesiątą wieczorem, a zatem w godzinach, kiedy prace domowe są ukończone. Na kursach tych są wykładane: język polski, religja, arytmetyka, geografia i historia. Są to kursy dokształcające tylko, gdyż próby utworzenia szkół zawodowych, przygotowujących służące „Św. Zyty“, „Św. Kingi“ spełzły na niczem. Z kilkudziesięciu kandydatek, które te szkoły ukończyły, żadna nie została służącą, poszły wszystkie na sklepowe, telefonistki etc. etc. czyli cel został zupełnie chybiony. Jeżeli dodać do tego zebrania towarzyskie, śpiewy chóralne, przedstawienia amatorskie, porady życziwe zarządu, jego opiekę

i czuwanie nad losem poszczególnych członków, zobaczymy, że związek wyczerpuje wszystko, co dla pracownic się da zrobić w ogólności. Pozostaje tylko pytanie, jaki wpływ należenie do związku na pracownice wywiera, czy są one lepsze i bardziej odpowiedzialne od innych sług, do związku nie należących.

Ogólnie trudno uogólnić kwalifikacje przeszło 3000 służących, należących do stowarzyszenia. W ogólności jednak są one o wiele uczciwsze od służby niestowarzyszonej. Jak wszystkie służące dzielą się na wyraźne dwie kategorie: służbę dobrą, stałą, nie lubiącą zmieniać posad, latami pozostającej w jednym i tym samym domu, — były wypadki, że takie służące, przez cały czas wojny nie pobierały wcale pensji, były wypadki, że swymi oszczędnościami dzieliły się ze swymi chlebodawcami, ba — nawet swoją pracą poza domem dopomagały państwu do przeżycia ciężkich lat wojny i okupacji. Niestety jest ich znakomita mniejszość i co bardzo charakterystyczne, że te doskonałe sługi właśnie najmniej są wymagające i do dnia dzisiejszego pobierają nieraz po 20—25 złotych miesięcznie.

Druga grupa, nader liczna, to latawce, wciąż w pogoni za lepszym miejscem, za wyższą pensją, one to wyśrubowują pensje i stawiają coraz większe wymagania. Ks. patron twierdzi, że w podnoszeniu pensji są winne same panie, które rozmowę zaczynają od tego, że gotowe są dać 100, nawet 120 złotych, byle mieć dobrą służącą. To też podobno wymagania bardziej uzdolnionych pracownic, szczególnie tych, co kurs kucharstwa w szkole przeszły, dochodzą tych granic. Tutaj, w dotąd niesłychanie harmonijnie toczącej się rozmowie mojej z księdzem, czuć mały rozdźwięk. Ksiądz jako obrońca interesów pracownic, upewnia, że pensje takie nie są wygórowane wcale, — ja twierdzę, że jeżeli przed wojną najlepsza służąca brała dziesięć rubli, to według parytetu złota należy się jej dzisiaj — dwadzieścia pięć złotych.

Ksiądz zaczyna wyliczać artykuły, które znacznie bardziej podniosły się w cenie, ja zaś dowodzę — choć inteligentne pracownice, biuralistki, maszynistki i t. p. po pokryciu kosztów mieszkania, utrzymania i to jakiego lichego utrzymania (kontyngensowe obiady), któremi by się żadna służąca nie kontentowała, napewno na ubranie i drobne wydatki dwudziestu pięciu złotych nie mają. — Ksiądz zaczyna wyliczać co dawniej można było mieć za dziesięć rubli: buciki za cztery ruble, suknię wełnianą za pięć rubli, — a dzisiaj buciki 30 złotych etc. Ma o tyle rację, że ceny rzeczywiście były takie, tylko zapomina, że przed wojną służące lakierków ani jedwabnych pończoch nie nosiły.

6) STARY SĄCZ

ZE SZKICOWNIKA.

KAPLICZKI.

Po całym kraju tym rozsiane są kapliczki.

Wśród pól, gdzie odbywa się praca żniwiarzy; u rozstajnych dróg i przy wielkich gościńcach; u źródeł młodych potoków i nad korytami prastarych rzek; u wejścia do lasów i przy wjeździe do miasteczek i wsi. Kapliczki cmentarne, kapliczki polne, kapliczki miejskie. Wesołe i żałobne; drewniane i z cegieł wzniesione. Obszerne, jak malutkie kościółki, z ołtarzem i obrazami, zamknięte przez cały rok, otwierające się jedynie w dzień patrona — i smukłe słupki, dźwigające na szczycie figurę Chrystusa lub Matki Boskiej, albo klęczkę na cztery strony otwartą, w której mieszka kolorowo ubrany święty: Jacek, Nepomucen, lub Florjan.

Nie zasługujące nawet na miano dzieła sztuki, wzniesione jako talizman przeciw słotom, gradobiciu, nieurodzajom, pożarom, morowemu powietrzu i wszelkim klęskom — są jak zaklęte w kamień suplikacje, jak płomyki ducha, zapalające się od wiecznej tęsknoty tego, co zmienne, uwarunkowane i niestałe — do niezmienności, stałości i mocy.

Posążki pogańskie, kapliczki przydrożne — zrodzone nieraz z wyrachowania, wyglądające na przedmiot zamiany, na rewanż za opiekę, — powstałe z grubej, prymitywnej i bardzo niekiedy przyziemnej wiary — z biegiem lat nabierają wyrazu, wchłaniają w siebie siłę psychiczną szeregu pokoleń — i stają się niemą, kamienną, trwalszą od nich, pieśnią bezimien-nych.

WSPÓŁCZESNOŚĆ.

Traktami od Rytra, Nowego Sącza i Szczawnicy wchodzi w miasto oddział chłopców, miedzianych strojem i ogorzeliżną twarzą. Śpiewają.

Rytmiczne ich kroki dudnią po kamieniach. Zakurzone i sfatygowane obuwie odbyło dalekie drogi. Zpod czapek błyska biały skrawek czoła. Korpusy chwieją się mechanicznie, marjonetkowo. Oczy palą się, lub patrzą twardo i tępo.

Jakby pierścieniem opasane jest to miasteczko i inne górskie osady Polski w ciągu miesięcy letnich tą młodociaścią skautów, studentów i uczniów z obozów wojskowych.

Mieszczanin i chłop nie nawykł jeszcze do tego widoku. Dziwi się, czasem wydziwia. „Faszyści idą!“ — „Jeszcze ci jakieś pałeczki mają w rękach“, mówi złośliwie o kijach harcerzy kretynowaty dziad do żebraka.

Ład i forma, rytm wysiłku, kształt zbiorowego życia, codzienna praktyka kultury — wrzyna się brązowym czworobokiem w miasteczka, nie znające ładu, ani rytmu, bezkształtne i obce zbiorowemu życiu, dalekie kulturze.

JARMARK I CYGANIE.

Idzie jarmark. Marny, co dwa tygodnie powracający, środowy jarmark.

Rynek zapełniły głównie stragany pośredników, którzy rozłożyli barwne chusty i wstążki, perkale, etaminy, batysty z Czech, i Łodzi. Chwiejące się, skleccone z kilku desek przykucnęły ich kramy kilkugodzinne przy ścianach domów. Sędziwy żyd o długiej brodzie życzliwie i z godnością zachęca do kupna; inny o twarzy bez wieku, rzec-by można młodej, ujętej w jedwabną jarmułkę i ramy zupełnie siwych, obfitych loków, — zwraca delikatny, jak kamea, profil ku przechodniom, niedbały i obojętny, pozostawiając sprawy handlu trzepoczącej się i rozszwargotanej żonie.

Ubranie, obuwie — wszystko wyszło ze sklepów, wyniesione na targ. Kobiety sprzedają owoce i aniliną barwione cukierki. — Na środku rynku — zboże i kasze w worach, — wielkie bryły ciemnej soli tuż obok. — Gdzieindziej żelaziwa: zardzewiałe łańcuchy, kosy, sierpy; uprzęż zawieszona na kijach — cały skromny, a niezbędny sprzęt gospodarski. Gdzieś niedzie stragany z ohydą galanterją i stoły, zawalone kapeluszami: góralskimi kapelusikami o twardym filcu w kształcie miseczek, skrzydlatymi kapeluszami dla lachów, kapeluszami miejskimi o małych rondach i wreszcie „maciejówkami“.

Własny, miejscowy przemysł śpi; niema tu nawet inwencji, na jaką zdobywają się górale podhalańscy — wszystko zabija tandeta, sprowadzana z miast. Trochę szarego płótna; trochę łyżek, i pudełek drewnianych z Limanowej; trochę mis, garnków i dzbanów z fabryki garncarskiej tu-tejszej.

Ubogie są tymczasem potrzeby ludzi, budujących tu życie.

Tłok i gwar. Lipcowe słońce praży. Wicher, który przybył nieproszony, miecie piaskiem w oczy.

W pobliżu dawnego klasztoru Franciszkanów, a dziś ratusza, wielki plac z bydłem. Dużo pięknych krów i koni. Tam kręcą się najgęściej z okolicznych wsi przybyli chłopielachy, — czasem przesunie się rzadki tu góral.

Wśród zgiełku, wrzawy, kurzu i spiekoty przechadza się zwolna para cygańska. Cygan wyprostowany, o pięknej władczej głowie i dumnych oczach, kroczy jak księżę, elegancko i wytwornie niosąc na sobie stare, wytarte ubranie. Z za rozpiętej kurtki wygląda czysta, biała koszula. — Stąpa śmiało, z niezwykłym wykwintem. Wzrok mój pada na jego nogi. Są bose.

Przyszedł zapewne z nad Popradu, gdzie obozuje gromada cyganów w namiotach, uczynionych z jakiejś lichej płachetki. Deszcz zmywa to obozowisko, — kąpią się w słońcu, które spaliło ich skórę.

Często ku miastu idzie stamtąd dwunastoletnia dziewczynka, prawie naga, niosąc w ramionach małą, czarną, ludzką istotę. Zastępuje drogę i głosem monotonnym i niestrudzonego żebrze: „choć pięćdziesiąt tysięcy na bułkę dla tego dziecka“, „choć pięćdziesiąt tysięcy na bułkę dla tego dziecka...“

CO SIĘ DZIEJE W MIASTECZKU, GDY WSZCZYNA SIĘ POŻAR?

Daleką na Podegrodziu łunę dostrzeżono o zmierzchu z gorzelnii, będącej zarazem elektrownią miejską. Gwizd syreny zaalarmował Stary Sącz.

I wówczas: jak zpod mocno ogrzanej blachy na kuchni wysypują się w płochliwej ucieczce roje karaluchów — tak raptem ze szpar domów, czy zpod ziemi wyrastają na bezludnych ulicach miasteczka ludzie i nieprzerwaną falą płyną ulicą Bato-rego na Zachód.

Płyną w tempie jednostajnego pośpiechu, wyciągnawszy szyje, podając naprzód ciała, zaciekawieni i poruszeni, — spojeni jakąś niewidzialną substancją, jakby krwinki w osoczu biegnące pod wszechwładnym nakazem mechanizmu serca.

Wszystko, co z ludzi kryło miasteczko — w kamieniczkach, domkach i chatach, na rynku i na przedmieściu: rzemieślnicy, robotnicy, kupcy, sklepikarze, służące i panie — ludzie zdrowi i połamani, kulejący i niewidomi, starcy i dzieci, jakby ulegając wezwaniu i potrzebie nasładownictwa — wszystko to ruszyło na Zachód, gdzie w odległości kilku kilometrów paliła się wieś.

I rzecz osobliwa — po kwadransie może — tłum ten o sylwecie średniowiecznego pochodzenia — w sposób niewiadomy zaspokoiwszy żądę nowości, zmiany, wypadku, — czy też zniechęcony odległością — rozluźnił się, zmalął, rozproszył, zda się, wsiąkł pod ziemię równie szybko, jak powstał.

GWIZDKI NOCNE.

W głęboki szafir dziesiątej godziny wpada z gmatwaniny uliczek dziesięć ostrych gwizdań, podobnych do nawoływania ptaka nocnego.

Słychać je to tu, to tam. Przelatują po miasteczku już zacichłym.

Rzadkie kroki mącą spokój. Noc pozamykała usta i oczy domków; wydłużyła ich ciała, uczyniła wyrazistą sinawą biel ich ścian i czarność okien.

O jedenastej gwizdki ponawiają się, uporczywe i żalosne.

Świadczą o czyjś opiekunieczeni czuwaniu; ostrzegają przed czającym się z za węgla niewiadomem; mówią o lęku zabłąkanych wśród obszarów mroku; przypominają śpiącym bezpiecznie w domu o biegu czasu, który uwiązał w aksamitach nocnej ciszy.

Stróż nocny, szary człeczyna, owinięty w stare palto, przesuwa się po rynku i promieniach idących od niego ulic.

— — — — —
Północ.

Ostatnich dwanaście samotnych i niepokoju pełnych gwizdnieć rozplywa się w czarnej, głuchej już nocy miasteczka.

MANDOLINY.

Noc. Zbliżyła się dwunasta. Małe domki dawno śpią. Zgasła lampka elektryczna, mżąc światłem w szyje krzyżujących się ulic. Bibek poszczekuje w milczącą ciemność.

Nagle z łona nocy wstają brzęki. Z czarnośći nieprzeniknionej płyną tony, niewiadomo przez kogo wywołane, jakgdyby zrodzone z kondensacji pajęczyny tajemnej mroków. Ktoś z cicha uderza w gitarę, czy mandolinę. Instrument szarpnięty mocniej nabiera brzmienia; po chwili wplata się drugi; za nim trzeci akordami podzwania. Muzyka zbliżyła się i rośnie.

Dźwięki zatrzymują się przed domem i dzwonią fortissimo w samo ucho — jak gdyby wśród tej czarnej nocy rozsunęły się ściany i ciemność ulicy stała się samą muzyką.

Brzmi całe wojsko świerszczy i koników polnych, ukryte pod badylkami. Brząka szczypana, muzyka

urągłiwa i zaczepna, przypochlebna i pełna ironji, wabiąca i zerwanym w połowie akordem odsuwająca precz.

Jest natarczywa i uparta, śmieszna i niedzisiejsza; ma koźlą brodę, kopyta i rogi, wałęsa się, jak urwis pod oknami i na rozstajnych drogach, bezdomna, lecz niefrasobliwa, beztrocka i lekka — muzyka żaków średniowiecznych i obieżyświatów, wskrzeszona dziś przez studentów krakowskich, przybyłych na miesiąc letnie do Starego Sącza.

PO SŁOWIE.

Już wkrótce przyjdzie zima.

Śnieg spowije białym całunem miasteczko i zakuje w powłokę lodu.

O zmroku błękitne cienie ślizgać się będą po bieli dachów i ulic.

W niskich domkach stanie się zacisznie i ciepło i szeptać w nich coś będzie opowieść zimową.

Czasem przesunie się Nuda o szarem obliczu. Nuda o długich palcach obejmie głowy młodzieży; niedostrzeżona przez starych, odejdzie, gdy zabręczą dzwonki karnawału i rozbłyśnie ogniste widziadło dalekiego życia.

W sen zimny zapadnie miasteczko stare, — malutkie, ściszone życie wiodące u stóp klastoru, przy dużym trakcie, pod czarnym lasem, ponad brzegami dwóch rzek.

Wielki zaś kowal w głuchych podziemiach wykuwa młotem niewiadomy —

*może piękny, może bujny,
może silny i bohaterski —
przyszły jego Los.*

N. Samotyłowa.



AFORYZMY I PARADOKSY

Wśród wielu cech kobiecości nic tak mężczyzny nie zachwyca, jak tchórzostwo i bierność — nic bowiem tak dobitnie nie podkreśla jego zaszczytnego monopolu na czyn i odwagę.

Kłamiąc w miłości, mężczyzna nie ma wcale pretensji, aby kobieta mu wierzyła — on żąda tylko, aby kobieta doskonale udawała, że wierzy.

Im bardziej interesującym typem jest mężczyzna, tem mniej interesujące interesują go kobiety.

To, co dla kobiety nazywa się upadkiem, to dla mężczyzny bywa zaledwie przypadkiem, rzadko urastającym do godności wypadku.

MIASTA I KOBIETY

(WRAŻENIA)

II.

Deszcz mży, ryby pachną. Kanały jakieś, w cembrowanych sadzawkach uwięzione masztowce — szkielety romantyczne...

Ostenda. Drepce równiutko samochód. Zasapał się biedaczysko, zapłuł z gorliwości i stanął. Rozpoczyna się obrządek: nowy gość w Claridge'owskim palace'ie. Już walizy wręczane są portjerowi przez szofera, niczem listy uwierzytelniające przez ministra pełnomocnego — z namaszczaniem i godnością. Następnie dymisjonowany lord, tkwiący za wysokim biurkiem, skłania ku przybyszowi bokobrody łaskawe, i — wysłuchawszy supliki — poczyna wertować foljały... Suną'zewsząd wyfraczeni „princes char-mants”, z serwetą i bez serwet; zatroskane oblicza skupiają się wieńcem wokoło lorda jegomości. Chwila pufnej narady. Delikwent czeka z miną skupioną... Księgi zamknięto, w stronę błyszczących guzików padła cyfra. Zdecydowane są losy petenta. Samochód, odprawiony z kwitkiem (i z napiwkim) ryknął triumfalnie i już śpieszy ku nieznanym losom. Wśród złotych guzików poruszenie: dwa rzędy wyciągają się służbiście u drzwiczek windy, przy walizach wirują plejady błaszanych gwiazdek... Fizjonomja — przed chwilą wzgardliwa — świętnego hall'u topnieje w życzliwym uśmiechu. Guziki ścielą się do stóp, jak kaczeniec: gość został usynowiony.

Otwieram drzwi na taras, szczer-nie zasnułem koronką, i staję oko w oko z morzem. Już na schodach słyszałam jego namiętny oddech, świszczący od tłumionych pasyj. Teraz, jednym szarpnięciem klamki tak, jakbym zajrzała w otchłań — świat rozdarł się na dwie połowy: z jednej strony różowe ciepło gniazda, uwitego dłońmi pieszczotliwymi, z drugiej strony — w sobie skupiony siny gniew bałwanów, spienione wargi oceanu, z męką chwytające powietrze wśród nawały trudów potwornych i daremnych. Stoję na progu mojej jedwabnej latarni, otulona falą wymyślnego zapachu, i patrzę, jak Neptun oszalały smaga uległe grzbiety syrenie różgą z perła i djamentów. A woń jodyny i umarłych jakichś dziwów morskich niepokoi serce i w mózgu sprawia pustkę.

„Madame désire?” — z pod za-lotnego czepka uśmiecha się do mnie twarz francuskiej giejszy. Uśmiech mdlący, jak ulep ryżowy, komedjowa intonacja, giesty jaszczurki. Idealna

subretka dla „damy” — powiernica, pie-lęgniarka, chargé d'affaires i detektyw w jednej osobie. Wsiąkła w drzwi bez szelestu. Zasiadała głęboko w fotelu. Wokoło cicho, mgliście, atlasowo; morze, wyczerpane szałem, wzdycha po dziecinemu. Czuje, jak chwile przechodzą obok uśmiechnięte, nie mus-nawszy nawet skrzydłem moich policz-ków — zaledwie leciutkie falowanie abażuru i skrzyp posadzki na korytarzu mówią o tem, że chwilą są, i że odchodzą. Nie wiem już, gdzie jest mój dom prawdziwy, jak się nazywa mia-sto, kędy mieszkają moje troski i czy po tej nocy nastąpi dzień, a po nim noc druga... Usypia zmęczone morze, nikt do drzwi nie puka i miękki jest dywan pod stopami... Zapominam.

Wygolone fizjonomje fraków sto-jących patrzą na nas z żarliwością i poddaniem; fraki siedzące podnoszą na przybyszów oczy kamienne albo złośliwe. W powietrzu woń majone-zów oplata pieściwie ostre zapachy perfum. Obrusy iskrzą się, jak śnieg w słońcu, łagodnie brzęczą obce sło-wa, trzepoce srebrnymi skrzydełkami śmiech kobiecy. A lampki na stołach przypominają dłonie delikatne, prze-świetlone południowym promieniem.

Najżyczliwszy z fraków sunie przodem i co krok obraca ku nam twarz roz-jaśnioną. Siadamy tuż przy szklanej ścianie, za którą snują się gumowe płaszcze i kaprysi ocean. Błyskawicz-nie opada nas czarny rój, że stajemy się wysepką wśród zalewu uniżoności. Propozycje na temat przekąsek, expo-sé co do całokształtu dań, pracowite debaty nad wyborem wina, tu i owdzie dyskretnie podsunęty pomysł zgola niepowszedni, w lot chwytały pół-słówka, dobra wola bez granic. Gdy wreszcie uciszają się wzburzone flukta lokajskie, oddycham z ulgą i przy-tomniejszym wzrokiem ogarniam salę.

Sąsiedzi już są nami zajęci. Z nad karty win wypływa ku mnie blada żrenica angielskiego vis-à-vis. Rosyj-ska para po lewej ręce, patrząc me-lancholijnie w nieokreślonym kierun-ku — (żeby trudniej było zgadnąć) wypowiada szereg niedorzeczności o hiszpańskim pochodzeniu mego towarzysza. Dwie spasowane Kleo-patry, brzęczące jak konie w krakow-

skiej uprząży, wystawiają bez mrug-nięcia oczy bezczelne i zmęczone. A puszysta Amerykanka — rada z przy-pływu nowych tematów — wysuwa lisi pyszczek w stronę „Lovy sweet”, pochłaniającego sałatę, i ostremi ząb-kami — wśród chichotów i gardło-wych okrzyków — zjada nas na su-rowo.

Gdzieś tam inteligentnie gra muzyka. Wrażenie dosytu (gładkiej jakiejś pełni) działa, niby kąpiel letnia i perfumowana. Gnuśność — na kształt drapieżnego ptaka — kołysze się ospale u stropu. Smakosze wszelkich nacyj te same leniwe mają giesty, i tylko garsoni — pochłonięci śmiesz-ną pracą — wyglądają w tej gromad-zie na ludzi żywych. Uroczyście odprawia się celebra. Obok każdego stołu jest ołtarzyk, przy którym mag wykrochmalony składa z namaszczaniem ofiary cudzoziemskim bożkom: z ampułek leje płyny złociste na liście sałaty, błyskawicznymi cięciami otwiera wnętrza homarów, „tranżeruje” indyka, a potem — z twarzą skupioną — wręcza daninę tłustości słudze niższego stop-nia. Ten stawia ją pokornie przed obli-czami bożków, które zgasłem okiem przy-jmują kęs i — zując bez przekonania — toczą dalej próżne rozmowy. Tym-czasem na ołtarzu znicz płonie pod półmiskiem z następną objatą.

Zwłaszcza kobiece idole wyda-ją się niepocziwe i pychą nadmiernie odęte. Oczy, jak zamarżle jeziora; usta, jak serduszka czerwone ze złości, małe gładziutki głowy, niby łebki węzowe. I palce... Zblazowane, kapryś-ne, łapczywe i odtrącające dłonie. Zapomniały dawno te ręce, że są gdzieś nici, z których utkać trzeba szczęście dla kochanego człowieka, zapomniały zupełnie, że złote owoce schną niezrywane na drzewach, że duszą się wśród zielska róże i stor-czyki, że łuk napinać w gonitwie za jeleniem jest rozkoszą dla silnej ko-biety, że wiele twarzyczek dziecinnych nigdy nie zaznało pieszczotliwego dotknięcia, że święte w czarkach mi-łosiernych dłoni podawały lek kona-jącym biedakom i że ruch jeden dob-rej ręki darowuje łaskę zbrodnia-rzowi. Zapomniały, że palce dziew-czące, mocno na rękojeści sztyletu zaciśnięte, wytoczyć mogą dużo kropel rubinowych z nienawistnej szyi. Zapomniały idole... Teraz — jałowe i bezwolne — jak białe nietoperze, fruują z kielicha na kielich ręce bo-ginek, a usta w kształt serduszek po-malowane kapryszą, niby źle wycho-wane dzieci. I nic już nie smakuje tym wargom łapczywym. Nawet po-całunek...



STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW.

POCAŁUNEK

Twój pierwszy pocałunek, dany pokryjomu,
Pod pieczęcią milczenia na zawsze zamyka
Skrzydeł mych puch motyli i krew męczennika
Bładą, jak świt na szybach nieznanego domu.

Wywołany wspomnieniem, przeczuty boleśnie,
Spóźniony trel słowicy w zwiędłych liści chrzęście,
Twój pierwszy pocałunek, nagły jak nieszczęście,
Na wargach mych zadźwięczał, jak we śnie, jak we śnie...

I nie wiem, co mi niesie w wypadków bezsensie
Gwiazda serca, krążąca po losu orbicie.
Twój pierwszy pocałunek, drżący łąką na rzęsie,
Długi, jak noc zimowa, a smutny, jak życie.

Zimne są twoje ręce

Zimne są twoje ręce,
Obce i nieprzytomne,
Oczu, zagasłych w męce
Prawie nie pomnę.

Żalu do ciebie nie chowa
Piers moja pusta.
W duszy mej trwają twe słowa,
Na ustach — usta.

Samotni twojej — doleko,
Placzem nie zmączę.
Zastygły lzy pod powieką
Czyste, gorące.

Depcę liść suchy i słomę
Na twoim samotnym progu,
Szepcąc zaklęcia, wiadome
Tobie i Bogu.

I na wystygłym kominie
Krwawe zarzewie
Mijam, jak żeglarz, co płynie,
A dokąd, nie wie.

Może ku słońcu, a może
Wprost do mogiły;
...Tylko ty jeden, o Boże!
Wiesz, gdzie mój miły.

Wróżby

I.

Może to tylko się śniło,
A może śpiewał mi las,
Że w butach siedmiomilowych,
Już szczęście dogania nas.

Może staruszka bezzębna
Dziewczęciu wróżyła z kart,
Że przyjdzie królewicz z bajki,
Dziewiczej miłości wart.

A może anioł w przelocie
Powietrznych niepomyślnych dróg,
Szczęście, jak złotą podkowę
Upuścił na chaty próg.

A może sam Bóg na szali
Odważył mój i twój los,
I czeka, aż się przepali
Zła dola, jak cienki włos.

II.

Zebrała się chmara ludzi,
Wzmaga się cisza i gwar, —
Obudzi się, czy nie zbudzi
Ten niebios promienny dar?

Któż przyznać się doń ośmieli?
(Dziwuje się cały świat)
A w górze płaczą anieli,
I spada za kwiatem kwiat.

Zasumią skrzydła w przelocie,
(Może to tylko się śni?),
Archanioł cały we złocie,
Łzą srebrną namaszcza drzewi.

III.

Rozejdźcie się dobrzy ludzie,
Nie dla was szczęście i cud;
Złota podkowa na grudzie,
I iza anielska u wrót.

Nie dla was kabałę kładła
Staruszka w wieczorny czas: —
Gość drogi i wielka radość;
Tu król czerwieny, tu as.

Nie dla was cyganka stara
Wróżyła z ręki, jak z nut: —
Przyjdzie witeż — królewicz,
Zapuka mieczem do wrót.

Może to tylko się śniło,
A może tak serce lka,
Że w butach siedmiomilowych
Dogania cię miłość ma.

Gałązki smreczyny

Opadają świerkowe gałązki
Na samotne wezglowie,
Czy szeroki ich nurt jest, czy wąski,
Któż mi powie?

Opadają gałązki świerkowe,
Jak kropelki zielonej goryczy,
Na pierś moją, ramiona i głowę,
Któż je zliczy?

Gdzież te dłonie, co mi chatę mały
Kraśnym bukiem, złotym klonem i jo-
[dłą,

Gdzież to serce, eo mię w pustkę za-
[wiodło,
Chyba ty wiesz, mój miły?...

Opadają gałązki smreczyny
Na samotne łoże,
Nikt ich w kwiaty zamienić nie może,
Chyba ty, mój jedyny.

Murowanka w Hołyncie

I.

Odsunięto zawory
W murowance prastarej;
Przez firanki pajęczyn
Wkradł się dzień płowo-szary.

I rozjaśnił w półmroku
Wnętrze pełne rupieci,
Które osnuł patyna,
Kurz beczenny stuleci.

W tych pożółkłych szpargałach
Żadne serce nie bije,
Tylko sehną, jak w zielniku
Zwiędłych uczuć lilije.

II.

Murowanko odwieczna!
Ty rodzinny klejnocie!
Cto znowu rozkwitasz
W ziół czerwieni i złocie.

U stóp twoich na słomie,
Jabłęk plon przebogaty;
Jesień rzuca ci w prógi
Zwiędłych liści dukaty.

Winnych moszezu zapachów,
Każdy pełen jest kątek;
Dojrzewają owoce
W atmosferze pamiątek.

Aromatem zwabiony,
Pracowity rój pszczeli,
Spłynął z brzękiem i gwarem,
W słońca złotej kąpieli.

Na sepety i skrzynie,
Na foljaly i listy,
Spadł przez okno otwarte,
Grad owadów złocisty,

Szemrzą liście i pszczoły,
Pachną jabłka i miody,
A u progu na straży,
Stoi anioł pogody.

III.

Murowanko odwieczna!
Gdzież anielskie twe warty?
Oto we krwi się pławi
Świat, jak tygrys rozżarty.

Na szpargałach i listach,
Rozproszonych w zamęcie,
Wojna już wycisnęła
Swoje krwawe pieczęcie.

Twoich okien źrenice,
Uśmiechnięte do słońca,
Wypaliła pożoga,
Jadem ognia trawiąca.

Pierzchły ptaki i pszczoły,
Głucha stoi pasieka,
Tylko w ciszy zakrzępej
Grają działa zdaleka.

Miast ziół wonnych i jabłęk
W złotolitej odzieży,
Na skrwawionej murawie
Zeszepecony trup leży.

Wszystko wali się w gruzy,
Wszystko w proch się zamienia,
A u progu na straży
Stoi anioł zniszczenia.

O PAROBKU, STUDENCIE I CZAROWNICY

W pewnym dworze była na folwarku gospodyni, o której ludzie mówili powszechnie, że jest czarownicą, i to nie zwyczajną, ale dubeltową. Kumoszki opowiadały sobie, jak to każdy dworskie krowy zieleń przestępem, a one wskutek tego dają dużo mleka, podczas gdy inne krowy we wsi mają puste wymiona, jak to szkodzi całej okolicy, ściągając wszystek nabiał i urodzaj do siebie, tak, iż nawet z uzdy końskiej mleko wydoić potrafi.

Zaś trzy nieomyślne oznaki potwierdzały te domysły. Przedewszystkiem w źrenicy owej gospodyni każdy widział odbicie swej własnej postaci głową w dół zwrócone. Po drugie miała ona obyczaj wychylania duszkiem kieliszka z wódką, co jej się nieraz zdarzyło przez zapomnienie na jakim weselisku, wiadomo zaś, że każda poczciwa kobieta conajmniej trzy razy każdy kieliszek do ust nachyla nim go opróżni. Po trzecie, co najważniejsze, owa gospodyni podczas procesji w poniedziałek Wielkanocny nigdy nie obchodziła z innymi ludźmi naokoło całego kościoła, lecz doszedłszy do zakrystji wślizgiwała się przez uchylone drzwi do wnętrza z powrotem, co widzieli i zakrystjan, i niejedna z babek kościelnych.

Dziedziczka o tem wszystkim nie wiedziała i chwaliła sobie bardzo ową gospodynię, gdyż dzięki niej wszystko się w gospodarstwie darzyło.

Pośród czeladzi dworskiej był jeden parobek, który postanowił przekonać się, ile jest prawdy w pogłoskach, krążących o gospodyni. Znał zaś na to sposób doskonały, którego pewien biegły owczarz go nauczył. Zakradł się cichaczem na cmentarz, wyszukał tam sobie deskę sękatą, sęk z niej wybił, a deskę schował skrzętnie pod tapczan, czekając ostatniego wtorku przed nowiem. Wówczas poszedł z ową deską o północy na rozstajne drogi, a gdy popatrzył przez dziurę w desce, ujrzał to, czego się spodziewał: dworska gospodyni hasała sobie, hasała i wycinała krakowskiego tańca z djabelem. Na ten widok zdjął go taki lęk, iż rzucił deskę i uciekł czempredzej na folwark.

Ale i miesiąc nie minął, gdy ciekawość powróciła ze zdwojoną siłą. Doczekał się nowiu księżycy, kiedy to święty Jerzy odpoczywa i nie gra na cześć Boską, a furta do nieba bywa przymknięta i czarownice dowoli czarować mogą. Zakradł się z wieczora do izby gospodyni, przyczał się za piecem i czekał.

Gdy skończyła dozór nad udolem i obrządziła się około gospodarstwa, przyszła do swojej izby i udała

przed resztą służby, że idzie spać. Dopiero gdy było niedaleko północy, zaczęła mówić swój djabelski pacierz i zapukała trzy razy w piec. Wówczas z pieca wysunęło się pudełko z maścią z ziela sawiny, którą posmarowała sobie ręce i ramiona, poczem porwała ożóg, dosiadła go i wyleciała oknem.

Parobek dobrze widział i słyszał wszystko. Mówiąc to samo, co ona mówiła, zapukał trzy razy w piec; wyjechało pudełko, posmarował podobnie maścią ręce i ramiona, dosiadł stępora i wyleciał oknem.

Jedzie, jedzie, niesie się w powietrzu, aż zajechał na Łysą Górę. Tam była okrutna zabawa; czarownice tańcowały z djablami, którzy byli przebrani za niemczyków i tupali końskimi i kozłemi kopytami. Czarownice też, jak się zdawało, były postrojone w bogate szaty, a tańczyły, hukały, skakały, ile się zmieści. Przygrywał im wszystkim czart na starem radle. Po skończonych tańcach zaczęła się uczta. Djabli raczyli parobka i innych gości na srebrnych i złotych talerzach, a potrawy były tak znakomite, jak na królewskim stole. Gospodyni poznała go i przywitała ze śmiechem.

Gdy się wytańczyli i najedli do syta, goście nakarmili swoje ożogi, pociaski i stępory, które brykały ze rżeniem, jak konie. Natenczas poszedł do nich najstarszy czart i dał każdemu z gości czerwoną rogatą czapeczkę, upominając, by jej po drodze z głowy nie zdejmował. Goście dosiedli wierzchowców, włożyli czapeczki, i w mgnieniu oka, niewidzialni dla świata, byli już każdy na swoim miejscu, a z rumaków porobiły się znowu stępory i ożogi.

Parobek nie umiał dochować sekretu i chwalił się przed resztą służby z tego, co mu się przytrafiło. Ludzie śmieli się z niego, ale on na to nie zważał, i w następny nowy czwartek, czyli na nowiu, znowu wybrał się za gospodynią na Łysą Górę. Tym razem jechał tak blisko niej, że słyszał iak wołała.

— Płot nie płot, wieś nie wieś, a ty biesie nieś!

Na zabawie djabelskiej nie tylko hulał i jadł w dwójnasób, ale w dodatku naładował kieszenie złotymi szklankami, srebrnymi łyżkami, bo brał nie żartem, co się dało.

Nazajutrz znow zaczął przechwalać się przed czeladzią, a gdy się z niego wyśmiewali, chciał im pokazać przywiezione rzeczy. Sięgnął do kieszeni — aż tu zamiast srebra i złota wyciąga kopyta, racice i rogi bydlę-

ce. Inni parobcy wybuchnęli tem głóśniejszym śmiechem, a czarci gość rozchorował się z żalu i niestrawności. Gdy zaś wczorajsze jedzenie zwracało mu się ustami, i okazało się, że jestto gównno bydle i inne obrzydliwości, pobiegł do gospodyni i zaczął ją przeklinać. Ale ona wzięła się pod boki i wykrzyknęła z gniewem:

— Czegoś plótl, ośle! Cóż ty sobie myślisz, że my co innego jemy? To samo, bratku, to samo, a jednak nie umieramy i nie rozgadujemy po świecie!

On na babę, baba na niego, dość, że ludzie się zlecieli i cała historia się rozniosła. We dworze jednak nie dali jej wiary i gospodyni została nadal gospodynią.

Był tam jednak student, który dzieci dziedzica do szkoły sposobił. Tego zaciekawiło owo opowiadanie; poszedł do gospodyni i mówi:

— Dajcie mi tej maści, niech ja za wami pojadę!

— Dobrze — rzekła baba — niech się panicz przyrychtuje, a gdy zajadą konie z powozem, to panicz wsiądzie.

Dała studentowi maści, i w nowy czwartek o północy zajechała po niego powozem. Student pojechał, a baba z nim poleciała na ożogu, wołając raz po raz:

— Płot nie płot, wieś nie wieś a ty biesie nieś!

Na Łysej Górze student wytańczył się i najadł za troje, poczem wsiadł do powozu, włożył na głowę czerwoną rogatą czapeczkę i ruszył z powrotem. Ale wypite wino tak go zamroczyło, że zapomniał o przestrodze starszego czarta i po drodze zdjął czapeczkę, chcąc ją zbliska obejrzeć. Wówczas zniknął powóz, zniknęły konie, a nasz student spadł na ziemię i naguteńki, potłuczony znalazł się w jakiejś piwnicy, między beczkami z winem. Wstyd mu było strasznie, gdyż od czasu do czasu wchodził tam ludzie i bał się, by go nie zobaczyli. Ludzie ci rozmawiali jakimś niezrozumiałym językiem. Siedział tam parę dni, a gdy nikogo nie było — jadł z wielkiego głodu co tylko znalazł w owej piwnicy: migdały rodzynki, figi, a popijał często gęsto winem z owych beczek. Przemyślał też bezustanku nad tem, dokąd to go zniosła djabelska karoca.

Na szczęście kiedyś weszło do owej piwnicy paru księży, chcąc kupić wina. Na widok sutanny student wykrzyknął po łacinie:

— Pater, ratuj!

Ci się oglądają, ale nikogo nie widzą. Wówczas biedak wylazł z za beczki i nuż wołać znowu:

— Pater, ratuj, ratujcie mnie!

Przeżegnali go księży, myśląc, że ze złym duchem mają do czynienia, lecz on im opowiedział po łacinie, skąd się tu wziął w podobnym stroju, a oni mu wyznali, że jest wię-

cej niż o trzysta mil od swego domu, we Francji, gdzie pieprz i wino rośnie.

Student zaczął lamentować, lecz księży dali mu ubranie, zaprowadzili do swego klasztoru, nakarmili napoili i zaopatrzyli na drogę, przestrzegając go, by nigdy już nie wdawał się z czarownicami w konszachty. Student ruszył w drogę i po trzechmie-

sięcznej podróży wrócił do owego dworu, gdzie był nauczycielem.

Gospodyni czarownicy już tam nie zastał. Ze złości bowiem na wieś, która ją obgadywała, ściągnęła wielką burzę, a wówczas piorun uderzył w drzewo, pod którym stała, i zabił ją na miejscu.

Według opowieści ludowej
opracowała M. N.

19)

HELENA CEYSINGERÓWNA

D R O G A M I D U S Z Y

(p o w i e ś ć)

Manusia po dwóch miesiącach zajęcia straciła posadę kasjerki w aptece. Nie mogła sobie poradzić z rachunkami, nie umiała prowadzić ksiąg, a co gorsza wciąż jej brakowało pieniędzy. Wreszcie pewnego dnia okazał się większy niedobór i wymówiono jej miejsce. Żeby załatać ten deficyt, sprzedała Sokołowska ostatnią pamiątkę, relikwiarzyk złoty po prababkach — ale i to nie zapobiegło wydaleni. Nieudolnej kasjerki dłużej trzymać nie chciano.

Manusię zgnębiło to niepowodzenie tak silnie, że czepił jej się potem rodzaj melancholji. Chodziła w kółko po nieopalonem pokoju i, nic nie mówiąc, załamywała bezradnie białe ręce.

Izabella dostała wprawdzie jakąś źle płatną lekcję, ale cóż to znaczyło! Ninka w wolnych chwilach robiła szydełkowe serwetki dla „utrzymanki“ doktora, ale i to było bardzo miernym zarobkiem.

A Sokołowska nie leczona, nie odżywiana, jak należy, kaszlała nocami i dniami, spluwając często krwią. Pod wieczór robiło jej się zwykle lepiej. Gorączkowe rumieńce występowały na policzki i wtedy zaczynała snuć marzenia o powrocie do Gostkowa, o wyjeździe za granicę, a Ninka wybiegała do kuchni, by ukryć przed matką szloch, co niewstrzymany rwał się z jej piersi.

Pewnego wieczora, gdy Sokołowski był jeszcze na służbie, a w domu ani grosza pieniędzy, pani Ewelinie nagle zrobiło się gorzej. Skarżyła się na ostre klócie pod łopatką, a w końcu dostała krwotoku. Wystraszona Ninka pobiegła na górę, gdzie u strojnej pani zawsze o tej porze zastać można było doktora i ubłagała go, by zaszedł do chorej.

Opukał ją, zbadał, powiedział, że to znów zapalenie płuc i że stan jest bardzo groźny, napisał receptę i zalecił natychmiast przynieść lekarstwo.

Po jego odejściu siostry patrzyły na siebie martwemi spojrzeniami. Wtem Ninka zarzuciła chustkę na głowę, i pobiegła na ulicę, w ciemność, w deszcz i chłód jesiennej nocy...

Nie wiedziała jeszcze, co robi, biegła chodnikiem w stronę apteki i nagle natknęła się na wracającego do domu studenta.

Błysk nagły!

Chwyciła go za rękę.

— Panie drogi! Niech mi pan pożyczycy trzy ruble! Matka mi zachorowała, nie mam na lekarstwo! Ja do pana potem przyjdę—szepiała ciszej—ja panu zapłacę, sobą panu zapłacę! Mój najdroższy panie!...

On odsunął się w pierwszej chwili, zaskoczony tak nagle. Po tem rzekł z niesmakiam.

— Co, już się puściłaś, malutka?.. To było do przewidzenia. Ale po co te wykryty? Chora matka.. lekarstwo to stare kawały, moje dziecko! Chodź lepiej od razu do mnie!

— Muszę wpieryw lekarstwo... — szlochała Ninka — ale ja naprawdę... ja zaraz przyjdę, przysięgam panu... tylko wpadnę do apteki. Mój Boże mama tam czeka... Krwotok płucny.

— A daj mi spokój. Nie cierpię płaczów! Masz trzy ruble... i wynoś się!...

Na ręce swojej uczuł w tej chwili gorące usta dziewczyny. Wyrwał ją przykro zażenowany, a gdy Ninka odbiec już miała, rzucił uprzejmiej:

— A przyjdź kiedy...

— Przyjdę, przyjdę — zapewniała dziewczyna.

Student szedł dalej, pełen niesmaku i wzgardy.

On o tej dziewczynie marzył przez parę wieczorów, jak o kimś, kogo może kochać... a oto ona już po ulicach zaczepia mężczyzn... Ścierka! Piętnastoletnia i już ścierka!

Wczesnym niedzielnym rankiem Wanda rozdziela i ekspedjuje bibułę. Właśnie wieczorem nadszedł był transport „Polaka“, broszur różnych, odezwo, — upragniona, wyczekiwana od dawna, tajemna strawa dusz polskich...

Dwóch robociarzy pakuje sobie spore paczki pod kamizelki na pierśiach, z pożądlivością zerkając na

pozostałe zapasy nielegalnej „literatury“. Po tem starannie zapinają i wyglądają palta, usiłując nadać sobie pozory ludzi, nieobładowanych żadnym zakazanym towarem. Zaledwo wyszli, znów umówione pukanie i we drzwiach ukazuje się czapka studentka.

— Ach, jak to dobrze, zeście przyszli, Henryku, jest transport. a chciałabym się pozbyć go jak najprędzej, bo zdaje mi się, że dom jest pilnowany.

— Spacerują tam „filory“, ale to nie o nas chodzi. Pilnują tych z pod 45-go, wiecie! — uśmiechnął się, przebiegle—tam pepesi naznaczyli na dziś zjazd, a zebrali się gdzieindziej.

— W każdym razie dobrze będzie uprzątnąć to jak najprędzej. Pomóżcie mi!...

— Koleżanko Wando, na cały dzień oddaję się wam do dyspozycji. Możecie obładować mnie, jak wielbłąda, z wywieszonym ozorem, latać będę po wszystkich waszych odbiorcach, ale w zamian przysług!

— No?...

— Dajcie słowo, że spełnicie moją prośbę!..

— Oh nie! — śmiejąc się odrzekła Wanda.—Czyż ja mogę odgadnąć, co w tej palce zakwitło?. Powiedzcie najpierw, o co chodzi?

— Hm, kiedy nie wiem doprawdy, jak to powiedzieć... Chcę od was dobrego uczynku.

— No, więc dlaczego nie mówicie od razu.

— Czy ja wiem? Gdy tu szedłem zdawało mi się, że tylko do pani jednej zwrócić się z tem mogę, że tylko pani nie będzie miała uprzedzeń, przesądów i t. d. ...a teraz... boję się, że się pani obrazi...

— Cóż to za wstępy?! Moi drodzy spieszcie się! Mam przecucie, że tę bibułę uprzątnąć trzeba. Więc mówcie prędko i zabierajmy się do roboty!

— Proszę pani — mówił student, czerwieniąc się — tam, u mnie, w mieszkaniu jest jedna panienka, ona jest chora, trzeba jej kobiecej opieki... a nie chciałabym wpuścić nikogo,

coby to rozplotkował... ja panią proszę, niech pani zaraz pójdzie ze mną...

— Do waszego mieszkania?

— Tak.

— Cóż to za panienka? mówcież mi wszystko wyraźnie.

— Widzicie, onegdaj wieczorem ona sama zaczęła mnie i ja dałem jej 3 ruble, jakby to powiedzieć, à conto .. rozumiecie... ja was bardzo

przepraszam, koleżanko, ale to taka dziwna historia. Ta dziewczyna płakała, mówiła, że musi kupić lekarstwo dla matki, a potem przyjdzie... więc ja oczywiście myślałem, że to wszystko blaga... i nie liczyłem na to, poprostu zapomniałem... ona jednak wczoraj przyszła i... niechże to djabli wezmą!—zawołał po chwili—ani rusz nie wiem, jak wam to opowiedzieć...

— Henryku, mówcie poprostu.
— No więc, rozumiecie, ona mi się podobała i wziąłem się do niej trochę energiczniej, a wtedy ona jak mi nie zacznie szlochać, mdleć!—zglupiałem! powiadam wam i dopiero nagle wpadło mi do głowy, że to ona... pierwszy raz... i że to taka tragedia i... a ja w tem wszystkim byłem tylko brutalną świnią!...

(c. d. n.)

PAUL BOURGET

2)

N O W E L A

Z CYKLU: „TRAGEDJE TAJEMNE”

ROMANTYCZNA PRZYGODA IRONISTY

— Jakiej? spytał, gdy nagle zamilkła.

— Pan wie — ciągnęła dalej — dokąd rodzice moi wysłali mnie, chcąc nas rozłączyć. Wuj mój był niezmiernie dobry dla mnie. Widząc mnie głęboko nieszczęśliwą, współczuł mi, a może tylko udawał. Tak mi potrzeba było podpory! Otworzyłam przed nim serce i widział, jak cierpiałam! Pewnego dnia — byłam już u nich od trzech miesięcy — i nie miałam sposobności ani dać panu znaku życia, ani odebrać wzamian — powiedział mi, że jedzie do Paryża. Przynależ, że zobaczy się z panem i przywiezie wiadomości. Z jakąż wdzięcznością rzuciłam mu się na szyję... Wrócił w tydzień. Dziś jeszcze słyszę odpowiedź jego na pytania, których pan się domyśla: „Moja biedna Elżbietko, nie mów mi więcej o nim. Nie myśl o poświęceniu go. Mam dowody, że już cię zdradza”. — Uwierzyłam temu, mówiła dalej. Dziś rozumiem, że był tylko zreczniejszy od mamy i że wynalazł jedyny sposób, aby nas na zawsze rozłączyć. Nie mam do niego żalu. Miał tyle lat, ile ja dziś liczę, a w tym wieku widziało się tyle smutków wyleczonych, tyle uczuć zapomnianych, tyle zmian zachodzących w ludziach... Cóż dziwnego, że się bierze — miłość dziewczęcą za sen wiosenny. Nie wyprowadziłam go z błędu, pozwalając wydać się za męża... Zresztą, dawał mi szczegóły tak dokładne... Ukazał mi pana w takim towarzystwie poniżającym... Dopiero po przeczytaniu jednego z pana artykułów, wątpić zaczęłam w prawdę jego słów. — Było to we dwa lata po moim zamążpójściu, gdzie znalazłam to, co można było znaleźć, mając w sercu to, co ja miałam. W artykule tym, pan krytykował wyrok sędziego, który uniewinnił dziewczynę, winną zabójstwa narzeczonego swego, w chwili posądzenia go o niewierność. W sposobie, w jaki pan napadał na łatwowierność tej dziewczyny, na tych, którzy oczernili przed nią narzeczonego, poznałam, że pan wspomina własną historję — „A może wuj oszukał mnie!...” pomyślałam sobie. Pytanie to wracało za każdym razem, gdy trafiałam na pana

artykuły, a zdarzało się to często. Pan był współpracownikiem pisma, które prenumerowaliśmy. A potem przyszła chwila, w której nawet już nie zadawałam sobie tego pytania. Tak, wuj oszukał mnie... Wszystko, co pan pisał — mówiło mi o tem. Wszystko. Czy pan teraz rozumie, ile wyrzutów, skrupułów, melancholji, obudziło we mnie pańskie wspomnienie o pierwszej swej miłości i swych dwudziestu leciech?... Chciałam, zanim umrę, wypowiedzieć to panu. I wypowiedziałam...

IV.

Zaiste, panny Diana d'Azuly i Zofja Durand byłyby mocno zdziwione, gdyby mogły być ukrytymi świadkami tej sceny niezwykłej; one które właśnie w tej chwili mówiły:

— Jakos Blondet nie przychodzi. Widocznie już „w piątkę goni”:

— A szkoda, wesoły był pasażer...

Blondet „wesoły pasażer”, Blondet ironista, „ten szelma”

Blondet, słuchający zwierzeń prowincjonalnej, siwowłosej damy, bez uśmiechu, bez jednego „drwiącego” słówka... Ten blagier zawodowy, którego ulubionym wyrażeniem było: — „to dobry kawał!...”, użytem zarówno wobec najgorszych podłości i wobec najgorętszych entuzjasmów, spoglądał ze wzruszeniem niewysłowionem na tą śliczną jeszcze w swym zwiędłym wdzięku — bohaterkę romansu żywego, którego on był bohaterem, i jakże niegodnym!...

I oto przejmował go wyrzut, jego także; ale usprawiedliwiony; bunt przeciw temu, aby ta istota, tak subtelna, tak wciąż szalenie naiwna, jego przepraszała. Czuł niemal wstyd, że przywłaszczył nieprawnie ten skarb marzeń, nagle przed nim odkryty, tę poezję, otaczającą wspomnienie o nim.

— Ach! droga pani! odpowiedział impulsywnie, nie miej tych skrupułów, nie rób już sobie wyrzutów... Wuj nie oszukał pani... Nie godny jestem, abyś wyrzucała sobie cokolwiek z mego powodu... Wuj pani był istotnie w Paryżu. Dowiedział się — a trudnem

to nie było — że żyłem z kochanką w cztery miesiące po wyjeździe z Verneuill!

To ja powinienem przepraszać, i nietylko za to: ale także za to okropne kabotyństwo literackie, które dyktowało mi te wszystkie artykuły, o których pani wspomina, i ostatnio tę odpowiedź na ankietę gwiazdkową... Ale co pani się stało?...

— Stało się, odpowiedziała wybuchając łkaniem, że pan w tej chwili zniszczył całe moje życie uczuciowe... Ach! czemu pan nie skłamał przez litosć? Czemu?...

Dziś właśnie na sylwestra rok upłynął, od tej dziwnej rozmowy. Blondet spędził samotnie ten wieczór, przyglądając się płonącemu na kominku ogniowi i zapytując siebie, czy dobrze postąpił, odzywając się ze szczerością, która go na nowo i na zawsze rozdzieliła z dawną narzeczoną. Pani de M.... nie chciała go widzieć więcej. Nie napisała do niego. Nic nie pozostało po niej poza przejmującym wspomnieniem jej zwierzenia i poza bardzo dziecinną pamiątką, którą wydobywa teraz z najtajniejszej szufladki swego biurka... Jest to chusteczka, służąca Elżbiecie do otarcia łez, w chwili gdy rzucała mu to rozpaczne: „czemu?...”, które dziś jeszcze, po dwunastu miesiącach, ścisła mu serce. Wyszła wówczas z pokoju, zapominając chusteczkę na stole. Zabrał ją. Rozwija ją teraz, słaby zapach zalatuje ze zmiętego basty. Blondet wdycha go. Zapytuje siebie, jakim byłoby jego życie, gdyby spełnił się sen pierwszej młodości, gdyby zaślubił tę kobietę, która go tak kochała w marzeniu. I bez ironji odpowiada sobie, że wszystko stało się jak najlepiej. Jakież szczęście równać by się mogło ze wzruszeniem, niewysłowionem w swej słodyczy i gorczy, zarazem, jakim go przenięka cień zapachu, pozostawiony w jego pamięci przez ten cień kobiety? Zakochany jest w swej pierwszej miłości.

Diana d'Azuly ma istotnie rację: Blondet „w piątkę goni...”

Koniec.

Tłumaczyła M. D.

23)

Z CYKLU: „PROFILE ROMANTYCZNE“

MARJA WOŁKOŃSKA i TERESA CONFALONIERI

(1824 — 26)

I to nie poszło łatwo. Sprawdzony po długich korowodach notariusz coraz to nowe robił obiekcje. Czy dobrze czyni hrabia — spytał wreszcie — oddając, dziś już, wszystko, co posiada? Czy można liczyć tak bezwzględnie na kobietę? Napoleon zaufał Marji Ludwice, i oto, jak go zawiodła.

„Cieszę się, że jestem szczęśliwszy od Napoleona!” rzekł z uśmiechem Confalonieri i nie zważając już na uwagi, że sam cesarz niechętnie ujrzy odjęcie ogromnej fortuny lojalnemu domowi Confalonierich, a oddanie jej w ręce źle widzianej u rządu rodziny Casatich, przeprowadził swoją wolę, zapisując Teresie wszystko, co posiadał: pałace, kasztele i wille, bez żadnych zastrzeżeń i ograniczeń.

Myślał o niej z coraz większą tkliwością. Na wieść o jej podróży w pierwszej chwili zachnął się: „Po co? Gdy wróci, może mnie już nie zastać.” Ale wezbrało w nim rozrzewnienie na myśl o jej bezgranicznej ofiarności. Wiedział, że i od ojca jego niejedno wycierpieć musiała, wiedział, że ciężko jej było pochylić dumną głowę przed tym, kogo niedawno idiotycznym Neronem nazywali oboje. Teraz gdy wróciła, było mu lżej, myślał, że przedśmiertnego widzenia odmówić im nie mogą i że ostatnie jego słowa będą słowami wdzięcznej dla niej miłości.

Tymczasem los mu zesłał drugie, gorąco oddane serce, nieznanego przyjaciela. Do sąsiedniej celi przyprowadzono młodego Francuza, Aleksandra Andryane, również skazanego na śmierć, jako emisariusza.

Młodzieniec ten, wysłannik komitetu rewolucyjnego w Paryżu, choć nie widział nigdy Confalonieriego, powziął dla niego gorące uwielbienie i pociechą była mu myśl, że razem zginą. Pukaniem porozumiewali się ze sobą i to obcowanie z młodym entuzjastą pokrzepiło znużonego i dało mu zapomnieć chwilami o własnych troskach.

W Medjolanie bawiła siostra Andryane'a Paulina, i zdołała zbliżyć się do pani Teresy. Serdeczna przyjaźń połączyła obie kobiety. Szpiegowane przez policję, mogły widywać się tylko ukradkiem w kościele lub na cmentarzu i tajemnie wymieniać karteczki, dzieląc się to żalnością to nadzieją i ulgę w tem znajdując dla udęczonego serca.

List brata dał Teresie słaby promyk nadziei. Gabrio Casati, dotarłszy do Wiednia, z niebывалым pośpiechem, bo już 4-go stycznia 1824 roku, pisał:

„Pogoda nie jest już taka pośepna, jak wtedy, kiedyśmy Wiedeń opuszczali, jakkolwiek burza jest okropna

i piorun grozi jeszcze. Droga Tereso, przywołaj całe swoje męstwo, pokaż się taką, jaką jesteś. Niebo przeznaczyło cię do wielkich prób, ono cię nie opuści, jeśli w niem nadzieję pokładasz. Nie potrzebuję ci powtarzać tego, co czuję, i zapewniam, że jakakolwiek ofiara byłaby mi rozkoszą, gdybym przez nią mógł ulgę ci przynieść“.

Za dwa dni pisze znowu, że cesarz udzielił mu audjencji, przeczytał suplikę i list, jaki osobno dołączył arcybiskup Gaisruck.

„Choć nie umocnił tej nitki nadziei, jaką powziąłem, nie zerwał jej przecież całkowicie. Odpowiedzi nie dał, obiecał za dwa lub trzy dni jej udzielić. Ufam Bogu, ale wierząc mi, nie cofaj ofiary, którą już uczyniłaś, umacniaj się w rezygnacji, a Bóg cię wesprze.“

„Droga Tereso, miej odwagę, Bóg musi ci dopomóc. Jeżeli ci radzę, abyś się zbytnią nie unosiła nadzieją, to dlatego, że chociaż ona się spełni, nie będzie nigdy tem, czego byś sobie życzyła.“

„Mówię ci o tem szczerze, abyś się nie ludziła i abym ci nie sprawił podwójnej boleści.“

Teresa spodziewała się jeszcze, że pozwolą jej dzielić więzienie męża, brat stara się uprzedzić ją, że dość wielką będzie wygraną, gdy życie potrafi się ocalić. Dobra cesarzowa wzięła się do dzieła z istic kobiecą dyplomacją. Znając tępy upór męża, nie próbowała go prosić o litość, ale zrećnie poddała mu wątpliwość, czy proces tak ważny, dość legalnie został przeprowadzony, czy nie pospieszono się z nadto z wyrokiem, który gotów obudzić szemrania w kołach arystokracji lombardzkiej. Ku jej zdziwieniu cesarz natychmiast uwzględnił jej uwagi, zdawało się, że czekał tylko okazji, aby wykonanie wyroku na Confalonieriego odłożyć. Nie z ludzkości bynajmniej! Żał mu było tylu niewyjaśnionych tajemnic, któreby ze straconym poszły do grobu. Można przecież niebezpiecznego człowieka pogrzebać żywcem, a tajemnice zeń pozwoli wydobywać, gdy go już skruszy niewola.

Metternich poparł również myśl ulaskawienia, uważał on szubienicę dla pierwszego magnata kraju za efekt zbyt ryzykowny, cesarz polecił egzekucję odłożyć i wysłał gońca z tą wieścią do Medjolanu. Cesarzowa w obawie, że może się spóźnić z powodu jakiegoś wypadku w drodze (co się w istocie stało) wysłała ze swej strony drugiego kurjera.

Wytrzymałszy przez dziesięć dni Gabrijela i Teresę w mękach nie-

pewności, Franciszek 14 stycznia wezwał do siebie Casatiego i oznajmił mu, że „przez szczególną łaskawość i z uwagi na pokorne prośby osób, szczerze domowi austriackiemu oddanych, zmienia Confalonieremu tak bardzo zasłużoną karę śmierci na dożywotnie ciężkie więzienie, „carcer durum“, w fortecy Spielbergskiej“.

Teresa, dowiedziawszy się na razie tylko, że „największe z nieszczęść będzie jej oszczędzone“, pospieszyła przesłać cesarzowej gorące słowa podziękli:

„Jeżeli życie mego małżonka będzie zachowane, jeżeli będzie osłabione, to całe moje życie będzie poświęcone błogosławieniu Waszej Cesarskiej Mości, której nieskończona dobroć nie zatrze się nigdy w sercu wdzięcznym za największe z dobrodziejstw: zachowanie przedmiotu najgłębszego mego umiłowania“.

Dołożyła wszelkich starań, aby ta wieść jak najrychlej doszła do uszu męża, ale on przyjął ją sceptycznie, sądząc, że dobrzy ludzie chcą Teresę pocieszyć. Był bardzo zmęczony ciągłymi atakami, gorączkował, nie mógł podnieść się z łóżka, a mimo to nachodzono go i dręczono namawianiem, aby poczynił zeznania. Bywały chwile, w których tęsknił prawie do śmierci i troszczył się tylko o to, czy starczy mu sił fizycznych, aby pójść w ostatnią drogę z podniesioną głową.

W nocy 21-go stycznia obudzono go i kazano się ubierać. Wobec wielkiego osłabienia chorego, wezwano lekarza i położywszy na materacu przewieziono do Pałacu Sprawiedliwości.

W kaplicy, przeznaczonej [na ostatni pobyt skazanych na śmierć, spotkał towarzyszy niedoli. Byli to jego młodzi przyjaciele: Pallavicino, Castiglia, Borsieri, Brescianin Tonelli i Andryane, którego pierwszy raz ujrzał na oczy i ujęty był jego młodzieńczym i sympatycznym wyglądem. Ci, których zeznania przyczyniły się do jego zguby, rzucili mu się do kolan, prosząc ze łzami o przebaczenie. Wzruszony, przyciągnął ich do siebie i uściskał, ale wrazenie było zbyt silne, chory zemdlął i długo nie mogli go ocucić płaczący towarzysze. Kiedy się ocknął, dniało, a o ściany kaplicy obijał się szum, jakby wzburzonego morza. Był to gwar tłumu, który już tak wcześniej zebrał się na placu, gdzie wysokie wzniesiono rusztowanie, w oczekiwaniu niezwyklego jakiegoś widowiska.

(c. d. n.)

K, Bielańska.

POETKA LEGEND

„Marja jest imię moje, a z Francji pochodzę”
„Marie ai nom si sui de France”.

Oto wszystko, co powiedziała nam o sobie najpierwsza poetka francuska, autorka cudnych lejs¹⁾, które i w polskiej literaturze znajdują echo, zakochana w legendach, w bohater-skich czynach i lśniących zbrojach rycerzy, w marzeniach miłosnych pięknych dziewczyn i dam strojnych. O życiu jej własnym wiadomo niewiele, prawie nic. Krążą echa starych podań, uczeni rzucają rozmaite, coraz to nowe hipotezy, pewności niema żadnej. Jedni z uczonych przypuszczają, że pochodziła z miasta Compiègne, inni, a wśród tych ostatnich pierwszy wydawca pełnych dzieł Marie de France²⁾, p. Roquefort, uczo-ny niemiecki p. Karol Warncke³⁾, oraz znakomity uczyony i znawca średnio-wieczna, p. Józef Bédier⁴⁾, twierdzą z pewnością, że była ona Normandką. Czytając zaś jej dzieła, pełne celtyckiej tęsknoty, ma się wrażenie, że Marie de France była Bretonką. I tego jednak nie można uważać za wskazówkę zbyt pewną, gdyż za czasów owych cykl pieśni o Tristanie i Izoldzie był na wszystkich ustach, zarówno, jak cykl pieśni celtyckich o królu Arturze. Wielki triumf poezji celtyckiej znaczy wiek XII i wyciska mocne ślady na umysłach współczesnych, więc wcale nieprawdopodobnym nie jest, aby Marie de France, mimo celtyckiego charakteru jej poezji była Normandką, albo dzieckiem Compiègne.

Dwie rzeczy zdają się prawie pewne historycznie, a mianowicie, że Marie de France żyła i tworzyła około 1175 roku w Anglii, na dworze królewskim, oraz, że król angielski, któremu zadedykowała swe lejsy, był to Henryk II, Plantagenet, a tajemniczy hrabia Wilhelm⁵⁾—syn Henryka II i Rosemundy Clifford.

¹⁾ Lejsa — pieśń-poemat. Lejsą była również „Bogarodzica” polska.

²⁾ Poèmes de Marie de France. Paris 1832 par. H. de Roquefort.

³⁾ Die Lais der Marie de France, herausgegeben von Karl Warncke (Bibliotheca Northmanica, Halle 1885).

⁴⁾ Patrz: Les Lais de Marie de France (Revue des Deux Mondes 1891 t. 107) oraz Hist. Lit. Franc. 1924 t. I.

⁵⁾ Wilhelm Długa-Szpada (Guillaume Longue Epée), hrabia Salisbury był synem naturalnym Henryka II Plantageneta i Rosemundy Clifford. W bajkach, poświęconych hrabiemu Wilhelmowi znajduje się właśnie ów wiersz. w którym autorka podaje nam sama swe imię i swoją narodowość. Patrz: Phileas Lebesgue: Six lais de Marie de France i Warncke.

Przeciwko temu ostatniemu twierdzeniu, co do osoby Henryka II, walczą pierwsi badacze dzieł Marie de France i np. p. de Roquefort chce, aby Marie de France należała do poetów XIII-go wieku i żyła w Anglii za czasów Henryka III. Zdaje się jednak, że hipotezę tę odtrącić można na podstawie najnowszych badań.

Również zagadką jest położenie socjalne poetki. Czy była ona wielką damą, — dwórką jakiejś możnej pani, czy „zonglerką” vel skoczka, zarabiającą na chleb swemi pieśniami? O wszystkim tem Marie de France nie mówi nic w swoich utworach. Egotyzm kobiet XIX w. i XX-go jest zupełnie obcy pierwszej poetce francuskiej średniowiecza. Jest w owem przemilczeniu owego „ego” coś bardzo wdzięcznego i dyskretnego, lecz zarazem wielce utrudniającego biografowi jego i tak już ciężkie zadanie.

Może też autorka liczyła na to, że dzieła jej wystarczą dla uwiecznienia jej nazwiska, choć nie wspomnianego w nich, dość, że zaznaczyła tylko wyraźnie imię swe i pochodzenie; ostatnie prawdopodobnie z obawy, aby jej nie wzięto za Angielkę. Ładny dowód średniowiecznego patriotyzmu francuskiego ze strony kobiety, żyjącej poza granicami swego kraju.

W każdym razie, czemkolwiek była Marie de France, jest ona dla Francji, według pięknego określenia p. Józefa Bédier: „najdawniejszą z francuskich poetek i wraz z Małgorzatą Nawarską, na 3 wieki przed tą ostatnią, najmilszą z autorek staroświeckich”. Te dwa określenia starczą Marie de France za jej nieznanne życie, a słowo „Francuska” (de France) starczy za nazwisko, bo czyni ją córką całego narodu.

W poezji francuskiej, a nawet wszechświatowej, średniowiecznej gra ona niepoślednią rolę, stanowiąc niejako nić spójni pomiędzy starożytną wółlegendarną poezją bardów celtyckich, odchodzącą już w mrok przeszłości, a mającym niezadługo zakwitnąć przepysznym trubaduryzmem. Na dworze Plantagenetów, dzięki poetce francuskiej, zaczyna się okres t. zw. pierwszego Renesansu, dla którego miłość jest „źródłem wszelkich cnót”.

Marie de France wprowadza swe inowacje z wielką prostotą. Zada-walnia się powtarzaniem starych legend i opowiadań, a że ma niezmiernie poczucie muzyki wiersza, więc poezje jej czarują dziś jeszcze harmonią swego rytmu. Natura wrażliwa, romantyczna, bezwiednie stawia mi-

łość na piedestale i czyni ją głównym celem życia ludzkiego, może nawet nie zdając sobie sprawy, że w ten sposób sprzeciwia się starym estetycznym tradycjom. Śladami jej pójdą zresztą średniowieczni kochankowie, posługując się nieraz wyrażeniami z ksiąg nabożnych dla określenia swej miłości. Zresztą Marie de France umie, jak większość piszących, naprawdę utalentowanych kobiet, łączyć cudownie przeszłość z przyszłością. O talencie jej niektórzy surowi sędziowie wyrażają się, że był za mało dramatyczny, że brakło mu siły. Ale jednocześnie ci sami surowi sędziowie nie mogą się oprzeć przedziwnemu czarowi kobiecości i poezji, bijącemu od lejs Marie de France i przyznają, że jednak „coś” w tem jest, a dowodem zajęcia, jakie wzbudza zawsze twórczość Marie de France i jej dzieła, są chociażby liczne prace europejskich, a nawet amerykańskich uczonych¹⁾.

Sama forma lejs rozpowszechnioną została we Francji przez zonglerów bretańskich, którzy wypowiadając lub śpiewając swe lejsy, przygrywali jednocześnie na instrumencie w rodzaju harfy t. zw. rote. Podobno z lejs podobnych Gaufrei de Monmouth zaczerpnął sporo materiału do swej „Historia regum Britanniae”. Marie de France uprzedza nas sama, że lejsy jej miały za podkład lejsy bretańskie.

Przypatrzmy się taraz nieco samym lejsom, stanowiącym najgłówniejsze dzieło literackie Marie de France, gdyż jej tłumaczenie „Czyścica św. Patryka” (Espurgatoire saint Patriz) jest raczej dowodem jej erudycji i dobrej znajomości łaciny, zarówno, jak jej tłumaczenie zbioru bajek z angielskiego (Isopet) dowodzi, że znała dobrze ten język. Jak twierdzi legenda, lejs tych było 20, doszło jednak do nas tylko 12, niektóre z nich są anonimowe, lecz większość uczonych uważa je za utwory Marie de France. Pisane wierszem oktosylabicznym, o rymach dość pospolitych, noszą charakter wielkiej i wdzięcznej prostoty. Nieraz próbowano je tłumaczyć na nowoczesny język francuski, że wymienimy tylko tłumaczenia barona Roquefort (r. 1820) i znacznie bliższego nas szefa szkoły romańskiej, Jana Morèas'a.

(c. d. n)

Dr. M. Kastorska.

¹⁾ Espurgatoire de saint Patriz przez T. Atkinson Jenkins, Chicago 1903; dalej J. Ch. Fox: Marie de France (English historical Review, t. XXV, str. 303 i t. XXVI, str. 317, oraz uczyony włoski Ezio Levi: Sulla cronologia delle opere di Maria di Francia (Nuovi Studii Medievali 1922).

11)

CEL I ZADANIA PEDOLOGJI

Niech nas to nie obchodzi, że „dzieło“ to znacznie różnić się będzie od naszego pojęcia o rysowanym przez dziecko przedmiocie. Umiejętność patrzenia i widzenia osiąga się stopniowo, jedynie jednak na drodze bądź samodzielnego rysowania z natury, bądź też rysunków zupełnie fantastycznych, nigdy wszakże za pomocą, tak często i niefortunnie stosowanych i u nas do dzisiaj jeszcze, fatalnych t. zw. rysunków „w kratkach“ lub podług wzorów szematycznych, zabijających twórczość samoistną, a nade wszystko nudnych dla dziecka, czego, jak ognia, zawsze unikać należy.

Pod tym względem najbardziej miarodajną znajdujemy wskazówkę w dziele R. Papperheim: „Bemerkungen über Kinderzeichnungen“ (Uwagi o rysunkach dziecięcych), że, mianowicie: w rysunku małych dzieci nie istnieją zupełnie cele artystyczne, bowiem są one jedynie wyrazem rokoszy samego procesu pracy — ruchów rąk i pociągania linii. I ten właśnie wzgląd przeważać winien w traktowaniu rysunku w okresie przedszkolnym, jako jednego z najmilszych zajęć dla dzieci, o tyle przypominającego zabawę, że rola wychowawczynie musi być przy tym w znacznym stopniu bierna.

O rysunku, jako o czynniku pobudzania i rozwoju uzdolnień artystycznych, a nawet umiejętności patrzenia i odtwarzania, może być mowa w późniejszym dopiero okresie, którego w tej chwili pod uwagę nie bierzemy.

V

CZY, JAKIE I KIEDY NALEŻY OPOWIADAĆ DZIECIOM BAJKI?

Kwestja, czy wogóle należy dzieciom — zwłaszcza małym — opowiadać lub dawać do czytania bajki, należy w chwili obecnej do jednej z najbardziej spornych w pedagogice. Jedną np. z najznakomitszych naszych kobiet uczonych, wychowująca po śmierci męża dwie swoje córki, wykluczyła zupełnie z ich repertuaru bajki, uważając, górujący w nich żywioł fantastyczny, za nader szkodliwy. Kiedy starszym, umiejącym już czytać dziewczynkom, ciotka ich, zamieszkała w Polsce, (dziewczynki mieszkały zagranicą), przywiozła bajki Konopnickiej, matka surowo zaprotestowała przeciwko oddaniu ich w ręce córek. Stanowisko uczonej naszej podzielają też niektórzy pedagogowie niemieccy. Palmgren np. w swoich „Erziehungsfragen“ (Kwestjach wychowawczych) utrzymuje, że dziecko samo nadto fantazjuje, aby potrzeba było mu jeszcze opowiadać bajki. Upatruje on w „przeistaczaniu nierealności świata bajek w rzeczywistość życia

dziecięcego wielkie niebezpieczeństwo dla zdrowego rozwoju dziecka”. Zaznacza jednak wyraźnie, że nie występuje przeciwko bajkom wogóle; surowy sąd jego dotyczy wyłącznie bajek fantastycznych, poleca natomiast opowiadania, w których zobrażony jest „stosunek dzieci zwykłych śmiertelników do innych takich samych dzieci, do rodziny, do otoczenia”, — obrazki realne z życia zwierząt i roślin, wreszcie obrazki z życia i działalności jednostek wybitnych. Zarzuca on bajkom, że zbyt często bywa w nich mowa o „złych macochach”, że urodzie — zwłaszcza królewiczów i królowien — przypisywana jest nadmierna waga, że wskutek częstego opisywania walk między ludźmi i zwierzętami wytwarza się w dzieciach fałszywe pojęcie o świecie zwierzęcym oraz o stosunku człowieka do zwierząt, że pełno jest w bajkach opisów okrucieństw i t. p. W pojęciu Palmgrena (przeciwko któremu stanowczo się zastrzegam) jest np. znana dzieciom całego świata bajka: „O Czerwonym Kapturku” stanowczo szkodliwą, ponieważ wilk przedstawiony jest w niej jako „złe zwierzę”, gdy w rzeczywistości złe zwierzęta nie istnieją w naturze. Oburza się też Palmgren, że w bajkach bywa np. mowa o rozcinianiu brzucha. Utrzymuje, że znał osobiście dzieci, którym, pod wpływem podsuwania im wyobraźni scen podobnych, przychodziło na myśl rozplatać odwłoku pierwszej lepszej musze, jaka wpadła im w ręce.

Poglądów podobnych w literaturze pedagogicznej możnaby przytoczyć znacznie więcej, ograniczymy się wszakże na Palmgrenie, jako jednym z najbardziej miarodajnych i najlogiczniej uzasadniających swoje — zdaniem wielu innych znów — niesłuszne twierdzenia.

I znów do rozstrzygnięcia wychowawczej kwestji spornej najskuteczniej przychodzi pedagogice z pomocą pedologia.

Przedstawiciele szkoły filozoficznej Wundta, a zwłaszcza bezpośredni uczniowie jego, jak np. Kurt Schröcke w pracy źródłowej: „Märchen und Kind” (Bajka i dziecko), a także inni, przeprowadzili gruntowne, doświadczone badania psychologiczne na znacznej liczbie dzieci różnych krajów, zarówno europejskich

jak i egzotycznych, i na podstawie ich usiłovali określić zasadniczy charakter bajek i wpływ na umysły dziecięce. Wychodzili oni przytem z jedynie słusznego założenia, że zadanie pedagogiki nie polega na przeciwdziałaniu pewnym, luźno ze sobą związanym, postępkom i reakcjom ze strony dziecka lub, odwrotnie, na wywołaniu ich lecz na braniu zawsze pod uwagę całości kształtu stopniowego rozwoju dziecka i dlatego na zajmowaniu się tem tylko, co wywierać może trwałe wpływy na urabianie się duszy dziecięcej.

Na podstawie analizy bajek i wpływu ich na dzieci doszli badacze do przeświadczenia, że zasadnicze cechy bajki: nieokreśloność czasu i miejsca akcji (sam już np. śliczny i kojący ich początek: „dawno już temu...“...) nieograniczone dominowanie w nich elementu czaru, przy czem wszelkie zwykłe motywy czynów ludzkich zacierają się najkompletniej, i wreszcie zupełny brak tendencji moralnych — bowiem nietyle moralne przymioty bohaterów, ile zadawalniający przebieg ogólny, a zwłaszcza szczęśliwy wynik akcji, interesują słuchające dziecko — otóż wszystkie cechy te, charakteryzując właściwą bajkę, czynią ją najbardziej podatną dla duszy dziecięcej formą twórczości.

Umysłowość małego dziecka (od lat 3-ich do 6-ich) stoi przeważnie na poziomie naiwnie personifikującego wszelkie przejawy spostrzegania. Dlatego też jest dla dzieci w tym wieku nieokreśloność czasu i miejsca, a także nieograniczona potęga siły czarodziejskiej — rzeczą najzupełniej naturalną. Nadto pojęcia moralne małego dziecka pozostają jeszcze w uśpieniu; nie jest ono zupełnie jeszcze w stanie zrozumieć moralnych czynów osób działających, ani tem mniej pobudek do nich; cały jego światopogląd zamyka się jedynie w sferze wartości uczuciowych. Pożądaniem i dobrem jest to, co wywołuje przyjemność, zaś unikać należy, więc jest złe, tego, co sprawia przykrość.

Z temi właśnie cechami umysłowości małego dziecka liczyć się winna bajka, jeśli wywierać ma wpływ korzystny na budzącą się jego inteligencję. Dotyczy to jednak, pamiętajmy, tylko najmłodszych dzieci, bowiem jedynie w tym okresie jest umysłowość dziecięca tak podatnym dla bajek gruntem.

Wspomniany już przez nas Sully w swoich badaniach nad duszą dziecka dochodzi do wniosku, że trzeci i czwarty rok życia jest właściwym okresem bajek. „Ani wcześniej, ani później — powiada on — nie sprawia bajka dzieciom tyle przyjemności i tak dodatnio nie wpływa na nie, jak właśnie w tym okresie”.



KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

KOBIETY A UNIwersYTET.

Nie znając dobrze stosunków amerykańskich, wyobrażamy sobie często, że kobiety za oceanem mają znacznie łatwiejszy dostęp do szkół wyższych i uniwersytetów, niż u nas. W rzeczywistości jednak jest inaczej, jak o tem świadczy drukowany w piśmie kobiecym „Equal Riglets” artykuł studentki uniwersytetu w Waszyngtonie, panny Vau Casteel, zawierający ciekawe informacje o stosunkach, panujących na wszechnicach amerykańskich:

„Warunki życia nowoczesnego w naszym kraju wymagają na każdym polu pracy ludzi, odpowiednio przygotowanych, fachowo wyszkolonych i naukowo wykształconych. Młodzież nasza rozumie to dobrze i temu zawdzięczać możemy tak wielki napływ słuchaczy do wszystkich szkół wyższych w Stanach Zjednoczonych. Uniwersytety państwowe i liczne stypendja rządowe w uczelniach prywatnych dają możliwość młodzieży męskiej łatwego uzyskania wykształcenia zawodowego w każdym, obranym przez siebie kierunku. Z dziewczętami jednak sprawa przedstawia się inaczej.

A przecież dziewczęta amerykańskie potrzebują zawodowego wykształcenia nie inaczej, niż ich bracia! Najzdolniejsza nawet kobieta, lekarz, adwokat, inżynier lub budowniczy z trudnością przezwyciężyć może konkurencję męską i uzyskać możliwość samodzielnego zarobkowania. Pomimo to większość dróg, któremi dążą do swej kariery młodzieńcy amerykańscy, jest dla niej zamknięta, albo niezmiernie ograniczona.

Przyjrzyjmy się pod tym względem uniwersytetom państwowym, które powinny być przecie być w równej mierze dostępne dla młodzieży płci obojga, już choćby dlatego, że podatki na oświatę płać w jednakowej wysokości mężczyźni jak i kobiety.

Uniwersytet we Florydzie załatwia się z kwestją kobiet jako studentek najkategoryczniej i najbezwzględniej: poprostu nie przyjmuje ich wcale. W Wirginii władze uniwersyteckie żądają od kandydatki na studentkę przedstawienia świadectwa półtorarocznej pracy w jakiegokolwiek wyższej uczelni. Muszą one również mieć ukończonych dwadzieścia lat, chociaż ich szesnastoletni bracia uważani są przez te same władze za dostatecznie już dojrzałych umysłowo do studjów uniwersyteckich.

W stanie Delaware wszechnica dzieli się na dwa kolegia — właściwe kolegium uniwersyteckie i kolegium żeńskie. Na tem ostatniem wykłady są prowadzone znacznie słabiej, godzin wykładowych jest dużo mniej i wiele przedmiotów nie jest zupełnie uwzględnianych. Stosownie do orzeczenia senatu uniwersyteckiego, kolegium to ma na celu nie tyle naukowe wykształcenie kobiet, ile „przygotowanie ich do należytego spełniania

tych wszystkich obowiązków, jakich życie wymaga od każdej kobiety”. Innemi słowy mówiąc, jest to raczej szkoła gospodarstwa domowego, niż wyższy zakład naukowy.

Uniwersytet w Luizjanie przyjmuje studentki, stawia jednak jako konieczny warunek uzyskania patentu conajmniej rok studjów gospodarstwa domowego. Wszechnica w Vermont nie przyjmuje kobiet ani na wydział medyczny, ani na ogrodniczy. Dziwne ograniczenie! „Fermerki” amerykańskie zdobyły sobie ogólny szacunek w czasie wojny i zostały uznane za czynnik wysoce pożyteczny, a jednak zawodowe studia agronomiczne są kobietom wzbronione!

Za przykładem Vermontu idzie Delaware, które również nie przyjmuje studentek na kolegium agronomiczne. Uniwersytety w Illinois, Oklanomie, Luizjanie i Nowym Jorku wzbraniają studentkom wstępu do kolegiów inżynierji. W Tennessee wyższe szkoły zawodowe są dostępne tylko studentkom, które ukończyły dwudziesty pierwszy rok życia; dla studentów jednak niema żadnych ograniczeń wieku.

Nie inaczej stoi sprawa i w uniwersytetach prywatnych, subsydjowanych przez rząd. W Missisipi np. studentki są wprawdzie dopuszczane na wszystkie kolegia, ale nie mają internatów, podczas gdy dla studentów istnieją duże internaty, urządzone z wielkim komfortem.

Jeszcze gorzej przedstawia się kwestja stypendjów. Niektóre uniwersytety zastrzegają wprost, że są one przeznaczone tylko „dla młodych ludzi”. Kobieta, jak wiadomo, nie jest człowiekiem! („Man” po angielsku człowiek i mężczyzna jednocześnie). Inne zakłady przewidują tylko minimalną część swoich stypendjów studentkom. W Delaware na 16 stypendjów męskich jedno tylko jest kobiece, drugie zaś nakłada na stypendystkę obowiązek rocznego nauczania w szkołach państwowych po ukończeniu studjów. W Wirginji na 9 stypendjów dla studentów — jedno dla studentek. W Pensylwanji uniwersytet pozornie sprawiedliwiej podzielił swych słuchaczy i słuchaczki, ustanowił bowiem jednakową liczbę stypendjów dla akademików płci obojga — ale za to stypendja dla mężczyzn są trzykrotnie wyższe.

Niesprawiedliwość władz uniwersyteckich w stosunku do kobiet stosuje się jednak nie tylko do studentek. Jak wykazuje statystyka, liczba kobiet, wykładających na wszystkich fakultetach uniwersyteckich w Ameryce wynosi 677 osób, podczas gdy wykładających mężczyzn na samych tylko wydziałach „nauk wyzwolonych” jest 6723!

Kobiet na stanowiskach profesorów rzeczywistych jest w całej Ameryce tylko 28 na 2110 mężczyzn — a więc zaledwie $1\frac{1}{3}\%$! Nadmieniam przytem, że tylko 18 wszechnic w Ameryce udzieliło dotychczas kobietom zaszczytu mianowanie na profesora rzeczywistych — w pozostałych 43 nie wykładają ani jedna kobieta.

CZY JESTEŚMY INWALIDAMI?

Czytamy w australijskim kobiecym piśmie „Dawce” (Jutrzenka) następujące uwagi z powodu ograniczeń, stosowanych do kobiet, pracujących w przemyśle:

„Żądanie równych praw i równego uposażenia dla robotnic fabrycznych spotyka się zawsze z jednym tradycyjnym zarzutem ich „słabszego zdrowia”. — Koncepcja ta przedstawia stale kobietę jako rodzaj chronicznego inwalidy.

Przekonanie to jest tak mocno zakorzenione w umysłach wszystkich bez wyjątku mężczyzn oraz, co gorsza, znacznej większości kobiet, że nic na świecie nie zdoła w nich obalić poglądu na kobiecość jako na rodzaj choroby — nieszkodliwej, oczywiście, a nawet do pewnego stopnia znośnej i prawie pożytecznej, ale tem nie mniej rzeczywistej, która wobec tego musi być zawsze brana pod uwagę.

Stąd płynie konieczność odrębnego traktowania, odrębnych „ustaw ochronnych”, „opieki” i t. d. Nie mówimy tu o macierzyństwie, które to zjawisko, chociaż najzupełniej normalne, związane jest jednak z okresem do pewnego stopnia chorobowym. Nasi ustawodawcy uważają każdą kobietę bez wyjątku, we wszystkich stadiach jej życia, za stworzenie podległe stałym aktom cierpienia, czyniącego ją niezdolną do pracy i zmniejszającego przez to jej siłę roboczą, a co zatem idzie — i zarobki.

Czy jednak pogląd ten znajduje jakie uzasadnienie w świetle faktów? Ani nauka, ani obserwacja życiowa tego nie wykazują; wieśniaczki, pracujące na roli, nie podlegają żadnym chronicznym cierpieniom okresowym. Kobiety uprawiające sporty pływackie, tenisistki, atletki i t. d. nie uważają również swych normalnych funkcji organicznych za przeszkodę w tych zajęciach.

Jedynie kobiety — pasożyty, bytujące w warunkach nienormalnych, fizycznie osłabione, mogą odpowiadać tej koncepcji inwalidyzmu i słabowitości. Dodajmy do tego niehigieniczne warunki życia i ubranie, wymyślone tylko po to chyba, aby wywołać różne dolegliwości — jak wysokie obcasy, gorsety i t. d. — a będziemy mieli pełny obraz tego środowiska, które stało się podłożem poglądu na kobietę słabą, nieodporną fizycznie i moralnie i nie przystosowaną do normalnych warunków życia i pracy”.

* * *

Październikowy numer „Home” ilustrowanego miesięcznika londyńskiego dla kobiet, zawiera kilka interesujących artykułów z różnych dziedzin, między innymi barwny i ciekawy opis życia kobiet beduińskich przez młodą podróżniczkę po Saharze, Rositę Forbes, oraz szereg praktycznych rad i wskazówek dla matek o urządzaniu „ogródków dziecięcych” w domu. Z powodu braku miejsca podamy streszczenie tych artykułów w następnym numerze.

Z REFLEKSYJ NA CZASIE

...Dużo się już napisało i mówiło w tej sprawie. — Pan minister Grabski, w ciężkiej trosce o budżet Rzeczypospolitej musiał zdecydować najdalej idące oszczędności. Jedną z ważniejszych — redukcje urzędników.

— Redukcje!

Rozporządzenie to wywołało panikę i rozpacz wśród szerokich rzesz urzędniczych.

— Redukcja!

— A więc weryfikacja przede wszystkim! Skrupulatne, szczegółowe przeglądanie świadectw szkolnych, z uwzględnieniem naturalnie najwyższych cenzusów, potem lat służby i wybitnych zdolności.

— Pozostałych zaś?

— Pozostałych, dotknie złowrogie słowo — „redukcja”.

— A tych pozostałych jest wiele, bardzo wiele!

— Lwią część zredukowanych urzędników — stanowią kobiety.

...8 lipca 1924 r. przyjął pan minister skarbu delegację, która złożyła na jego ręce memoriał, przeciw redukcji kobiet w Urzędach publicznych, podpisany przez:

- 1) Związek Kobiet Pracujących.
- 2) Stow. Zjednocz. Ziemianek.
- 3) Nar. Organ. Kobiet.
- 4) Koło Polek.
- 5) Chrz. Tow. Ochr. Kobiet.
- 6) Katol. Związ. Kobiet.
- 7) Narod. Rad. Kobiet.
- 8) Stow. Młod. Kobiet.
- 9) Związek Buchalterów.
- 10) Klub Polit. Kobiet Postępowych.

— Pan minister, przyrzekł rozpatrzyć memoriał życzliwie.

— Choćby jednak najżyczliwiej odniósł się do tej sprawy, to jej zasadniczo nie zmieni, liczba urzędników zredukowanych, liczba kobiet bez pracy będzie duża, bardzo duża!

— Nasuwa się pytanie poważne: co te panie będą robić, z czego żyć?

— Wśród nich zapewne wiele się znajdzie takich, które pracę w biurach traktowały niemal jako miłą rozrywkę, z powodu braku zajęcia w domu, ot, poprostu, by mieć „swoją grosz” na... jedwabne pończoszki, kina, rozrywki, dla miłego flirtu z kolegami wreszcie...

— Biorąc sprawę wnikliwie, należy się i tym paniom słowo współczucia, ale... to już jest współczucie innego rodzaju, paniom tym groźba niedostatku nie staje u proga.

— Cała rzetelna uwaga i troska społeczeństwa winna się zwrócić tylko w kierunku tych kobiet, którym odebrano jedyny i konieczny sposób zarobkowania, którym obecnie w oczy zagląda widmo nędzy!

— Powtarzam: troska całego społeczeństwa!

— Bo sprawa jest pilna i poważna, całe rzesze kobiet, powiększane jeszcze przez ciągły napływ dziewcząt, kończących średnie zakłady naukowe, a niemogących z różnych powodów kształcić się wyżej — bez pracy.

— A żyć trzeba!

— A głód bywa złym doradcą!

— I cóż się narazie w tej sprawie robi, jak się radzi?

— Narazie — wszyscy znajomi i znajomi naszych znajomych, którzy zajmują jakieś wybitniejsze stanowiska czy to w Urzędach państwowych, czy prywatnych, są aż do śmiertelnego znużenia oblegani przez swoich i cudzych znajomych z błagalną prośbą na ustach: posady!

— I w całej pełni zaczyna triumfować system „protekcji” — lecz i to kwestji nie rozwiązuje, bo logika, mówi nam, że dzięki systemowi protekcyjnemu tylko mała liczba kobiet może otrzymać zajęcie, coż więc pozostaje reszcie?

— Jedno, powziąć decyzję: natychmiast, bez wahań jąc się i uczyć jakiegokolwiek rzemiosła!

— Z fałszywym wstydem precz! precz z obawą o wypielegnowane przesadnie rączki!

— Niechaj za przykład służy nam Ameryka, gdzie studentki Uniwersytetów nie wahają się na dalsze studia zarabiać... czyszczeniem butów na ulicach.

— Praca nie hańbi!

— Zacząć więc trzeba już, natychmiast!

— Szkół, szkół zawodowych w miastach i miasteczkach jak najwięcej, szkół państwowych, czy prywatnych dla dzieci i dorosłych!

— Te, które już są, powiększać, udoskonalać, sprowadzając z zagranicy rutynowanych nauczycieli, fachowo obznajmionych z prowadzeniem szkół zawodowych.

— I garnąć się do nich, uczyć się, być pionierkami ruchu, który przynieść może korzyść nie tylko kobietom, ale krajowi.

— A czyż trzeba przytaczać przykłady, jakie korzyści daje zawodowa praca kobiet?

— Panie właścicielki magazynów mód i strojów damskich to dziś osoby zamożne! Prawdziwie modne i kosztowne toalety noszą dziś prawie tylko one, a nierzadko stają się właścicielkami własnych willi i majątków!

— A ileż jest rzemiosł jeszcze nie wyzyskanych.

— Kwaciarstwo... Przed wojną znałam panią B., żonę obywatela ziemskiego, który nieszczęśliwymi kolejami losu stracił majątek, pani B., przyjechała z pięciorgiem dzieci do Warszawy, zaczęła się uczyć kwiatów sztucznych i, dzięki inteligencji i zręczności nader szybko wydoskonaliła się w swoim rzemiosle. — Dziś, pani B., wykształciwszy dzieci tylko z pracy rąk własnych, bez pomocy z czy-

jejkolwiek strony, pracownię swoją rozwinęła niemal do rozmiarów fabryczki — i poważnie marzy o odkupieniu majątku rodzinnego).

— Więc: kwaciarstwo, koronkarstwo, koszykarstwo, zdobnictwo, zegarmistrzostwo, introligatorstwo, zabawkarstwo — (możemy i powinniśmy stworzyć nasz krajowy przemysł, zabawki i lalki polskie ogromnie się podobają zagranicą) — hafciarstwo, rękawicznictwo, pończosznictwo — (coraz większe zapotrzebowanie wyrobów krajowych) — a nawet kamasznictwo bardzo popłatne, a powinniśmy stworzyć konkurencję — niemal jedynym dotychczasowym wytwórcą — żydom — i t. d. — i t. d.

— Pole więc do działania duże.

— Tylko chęci, odwagi i wytrwania!

— I czynu!

— A powodu do rozpaczki nie będzie.

— Całe jednak społeczeństwo powinno ten ruch kobiecy powitać życzliwie i otoczyć szczególną troskliwością i opieką!

— Niechże kobieta inteligentna, pracująca zawodowo nie będzie już nigdy więcej uważana za parjasa — za kogoś nierównie stojącego niżej na szczeblach towarzyskiej znajomości, niechże będzie jak i „ci wszyscy”.

— Niech będzie pewną, że praca zawodowa jej nie poniża ani odosabnia.

— Wówczas, można być pewnym, całe zastępy kobiet inteligentnych garnąc się będą do pracy zawodowej, do rzemiosła, wówczas może stworzymy nowy przemysł.

Kazet.

WYCHOWANIE FIZYCZNE I ŻYCIE SPORTOWE KOBIEC

JESIEŃ.

Jesień — złote i purpurowe liście, snujące się nici babiego lata, rżyska ozłoczone ostatniami, jaskrawymi promieniami słońca, drzewa uginające się pod ciężarem owocu, dla gospodarza pora zbiorów, nagroda za pracę letnią, dla natury nadzieja spoczynku i snu zimowego.

Mnie jesień inne wyobrażenie nasuwa. Jesień to tłumy dzieci wracających do nauki, do miasta, dzieci wypoczętych, zdrowych lub w każdym razie zdrowszych, niż były przed wakacjami, dzieci, które teraz mają być zamknięte w murach szkolnych na długie 5—6-ciu godzin dziennie. Dzieci, które siedzieć będą w pokojach prawie zawsze za ciasnych, w klasach prawie zawsze za licznych (do 50 w jednej klasie!) w ławkach często za wysokich lub za niskich, pod okiem (przepraszam bardzo wszystkich pedagogów) ludzi myślących o regułach ma-

tematycznych, o prawidłach gramatyki polskiej lub łacińskiej, ale jak rzadko pamiętających o tem, czy dziecko nie garbi się przy pisaniu, czy nie psuje sobie oczu, trzymając zbyt blisko lub daleko książkę, czy jest należycie umyte i nakarmione, czy klasa należycie przewietrzona i t. p.

Dzieci te skazane będą na ślęczenie po 8 godzin nad książką (bo przecież ze 2 godziny w domu zadane lekcje odrabiać muszą) a 8 godzin to dzień pracy dorosłego człowieka, na stałe niedosypianie, na wstawanie w zimie przy sztucznym świetle, gdyż w naszym klimacie, chodząc na 8-mą do szkoły, tak wstawać trzeba, na jedzenie śniadania niedbałe, nerwowe; nie mówię tu już o takich, które mieszkają w brudnych, ciasnych izbach z kilkorgiem innych osób i będą chodzić do szkoły głodne, bez zimowych płaszczyków i w podartych bucikach.

Jesienią myślę o tem i myślę, jak my kobiety powinnyśmy przeciwdziałać temu złu koniecznemu, jakim jest dla zdrowia nauka szkolna w naszych obecnych stosunkach, jaka rola przypada matkom i opiekunkom w ułożeniu zawczasu od początku roku szkolnego takich warunków życia codziennego, żeby ono było jak najmniej uciążliwe, możliwie najmniej szkodliwe dla zdrowia dziecka.

W zimie, na wiosnę myśli się „jakoś to będzie”, dziecko mizerne, słabe, ale „dociągnie” do lata, wyjedzie na wieś, wypocznie, poprawi się.

Na jesieni mamy całe 10 miesięcy przed sobą, możemy mieć takie wypadki, przerywające pracę, jak choroby zakaźne i inne. Trzeba dziecko racjonalnym trybem życia przygotować, uodpornić przeciw chorobom, zahartować i wzmocnić, by mogło podołać pracy szkolnej.

Szkoła w kierunku zdrowotności i fizycznego rozwoju dziecka dużo powinna dać sama, ale nie może dać wszystkiego. Nie może przedewszystkiem wpłynąć na jego życie domowe (choć i w to wiele dobrych szkół często wchodzi) nie ma zwykle możliwości materialnej wprost, aby życie szkolne urządzić naprawdę higienicznie.

Kierownicy i wychowawcy są przytem zbyt przepracowani, by się tą sprawą sumiennie zająć, a nauczycielka lub nauczyciel gimnastyki (szumnie zwany kierownikiem wychowania fizycznego) pomijając już, że też należy do tych zapracowanych, gdyż stanowczo musi się sam nadal dokształcać i przez ogromnie niedogodne warunki pracy, jak brak sal, przyrządów, boisk, a co za tem idzie ustawiczne bieganie do odległych ogródków Raua lub na wypożyczone boiska innych szkół, ma zajęcie naprawdę bardzo ciężkie, nauczycielka taka ma, jak dotąd, bardzo skromny głos i wpływ na życie szkoły.

Któż więc, jak nie matki, musi pomóc, musi radzić?

Zapisując dziecko do szkoły zamiast zastanawiać się głęboko, czy się ma ono uczyć francuskiego, czy niemieckiego, czy ma iść do gimnazjum, czy do szkoły zawodowej, czy spotka w szkole dzieci z równie „dobrych domów”, spytajmy raczej przede wszystkim, czy w szkole jest sala gimnastyczna i boisko. Niestety pytać o to trzeba, bo jest u nas wiele szkół, szczególnie żeńskich, gdzie sal gimnastycznych i wogóle gimnastyki prawie niema, a żeńskie szkoły, mające boiska własne należą do tych fenomenów, na które z zazdrością spoglądają uczennice i nauczycielki.

A przecież w Ameryce nie zawahano się przed rzuceniem paradoksalnego, zdawałoby się, zdania, że „lepsze boisko bez szkoły, niż szkoła bez boiska”, myśląc pewnie, że i na boisku dałoby się skutecznie przeprowadzić niejedną lekcję geografii, przyrody i t. p. No, trudniej byłoby z kaligrafją, ale widocznie wobec rozpowszechnionego pisania na maszynie Amerykanie nie kładą na nią takiego nacisku.

A więc zapisując dziecko do szkoły, pomyślmy, czy jest tam sala i boisko. I jeśli jest, to w jakim stanie? Stan ten jest przeważnie opłakany. Przy braku odpowiednich budynków szkolnych zwykle w jakimś większym pokoju mieści się sala rekreacyjna, przeznaczona równocześnie na zebrania, przedstawienia i t. p. często stoi tam fortepian lub estrada, czasem w kącie jakieś stojaki lub parę nieszczęśliwych drabinek. Gdyby chcieć z 40 lub 50 uczenicami, korzystając z nich przeprowadzić lekcje, to ta gimnastyka musiałaby trwać chyba 4—5 godzin!

Istnieją przecież Koła Opieki nad uczniami danej szkoły. One powinny pomyśleć wraz z przełożonymi o zorganizowaniu niezbędnych lekcji gimnastyki, jeśli nie można w lokalu szkolnym to w najętych salach gimnastycznych, najlepiej w popołudniowych godzinach, o dopomożeniu szkole w nabyciu niezbędnych przyrządów, a przede wszystkim o urządzeniu i doprowadzeniu do porządku już istniejących boisk i ogrodów im. Raua. O prowincji już nie mówię, w małych miastach lub na wsi o miejsca odpowiednio zupełnie łatwo, przeważnie tylko brak urządzeń i ludzi, którzyby się chcieli i umieli temi rzeczami zająć.

Jesienią ogródki i boiska powinny być pełne. Niema upału ni kurzu, a pogoda często piękna. W początku roku szkolnego tak dużo lekcji jeszcze się dzieciom nie zadaje, nie ma jeszcze tego gorączkowego doganiania, żeby tylko skończyć kurs, programem nakazany. Zamiast lekcji gimnastyki w sali, zamiast spacerów po mieście po sprawunki, powinni uczniowie i uczennice przebywać jak najwięcej tam właśnie.

Chłopcy wszędzie organizują sobie samorzutnie swój ukochany

(choć niekoniecznie godny polecenia) football, dla dziewczynek byle przeciągnąć taśmę czy sznur w braku siatki choćby między dwoma drzewkami i już mogą grać w piłkę latającą.

Piłka latająca to najlepsza chyba gra. Ciągłe w ruchu, a niezbyt męczącym. Ręce i głowa do góry wyciągnięte po piłkę, klatka piersiowa podana naprzód, rozszerzona, podskoki, wesołość, a jak łatwo zorganizować, może być i teren niekoniecznie zupełnie równy. Żywsze i energiczniejsze dzieci wybiją się w niej od razu na pierwszy plan, słabsze mogą brać udział, mniej się ruszając. Prócz gimnastyki i gier od jesieni już myśleć należy o zorganizowaniu dla każdej szkoły wspólnych ślizgawek, kursów narciarstwa, saneczkowania, kąpieli i t. p.

To w szkole. — A w domu? W domu przypomnieć muszę, że jesień to najodpowiedniejsza pora, żeby dziecko zahartować przeciw przeziębieniom tak częstym w tym czasie i w zimie.

Latem chodziło dziecko boso, kąpało się w rzece, sypiało przy otwartym oknie, nacierało się codzień zimną wodą, odbywało długie spacery, grało w piłkę i t. p. Tak powinno być!

Przedłużmy mu teraz ten wakacyjny tryb życia, niech nadal jak najdłużej ma otwarte okno w sypialni, nie pozwólmy mu przerwać obmywania się chłodną wodą. Między jednym dniem a drugim tak niewielka jest różnica temperatury, że nie przerywając ani na dzień, całą zimę z łatwością będzie znosić wodę pokojową. Niech jak najdłużej chodzi boso chociażby tylko w pokoju, niech z powodu lada słoty nie przestaje używać spacerów i zabaw na dworze. — U nas dziwi każdego lub śmieszy Anglik, wychodzący na spacer w płaszczu nieprzemakalnym i pod parasolem. Tymczasem i w naszym klimacie gdybyśmy chcieli spacerować tylko w pogodę, to przez 5 do 6-ciu miesięcy na rok nie moglibyśmy prawie wcale spacerów używać.

O śnie, odżywianiu i ćwiczeniach gimnastycznych, jakie możemy stosować w domu sami, pomówię oddzielnie innym razem.

I. Fabrycowa

WIADOMOŚCI SPORTOWE.

28. IX. odbyły się wewnętrzne regaty Klubu Wioślarek. W pierwszym biegu na jedynekach ze sterem zwyciężyła p. Kopiowska ze sterniczką p. Grabicką, w biegu czwórki kłepkowych osada p. Wasilewskiej. Bieg jedynek wyścigowych z powodu choroby jednej z przeciwniczek odwołano. Na dwójkach odkrytych przyszła pierwsza do mety osada p. Samolakówny. Udział publiczności był tym razem bardzo nieliczny.

PAŃSTWOWY KURS WYCHOWANIA FIZYCZNEGO.

13. IX. rozpoczęły się zajęcia na VI-tym Państwowym Kursie Wychowania Fizycznego. W skład programu wykładów wchodzi: fizjologia, anatomja, higjena ogólna, szkolna, systematyka gimnastyki, teoria i historia wychowania fizycznego i Psychologia. Gimnastyka odbywa się codziennie, gry dwa razy tygodniowo. Wykłady mają miejsce w salach uniwersyteckich, a gimnastyka jak zwykle w sali w ogrodzie Saskim. Dla pań będzie prowadzona rytmika i płąsy; prawdopodobnie również jazda konna i pływanie dla wszystkich uczniów.

KSIĄŻKI DLA DZIECI

Benedykt Hertz, „Wakacje w puszczy,” powieść dla dzieci powyżej lat dziesięciu. Wilno, 1923 r.

Powieść sensacyjna. Akcja toczy się na tle wywczasów letnich Magdusi, w puszczy białowieskiej.

Stary sybirak szuka zaginionego w czasie wojny wnuka. Wychowuje go jako syna, Boluka, Paweł, stróż nadleśnego. Odebrał go starej kobiecie, którą powszechnie uważano za czarownicę i zwano Jadwisienką — Oleńką. Oboje chcą mieć chłopca u siebie, bo wiedzą o jego szlacheckim pochodzeniu i czekają na jego spadku.

W odkryciu tajemnicy dopomaga Sybirakowi Magdusia, główna bohaterka powieści. Po różnych zakłaniach Boluk okazuje się „dziedzicem” i wyjeżdża na naukę do Krakowa.

Akcja płynie zrazu żywo. Zaciekawia nas autor i intryguje. Zawsze jednakże chwytnie wszystkie nici intrygi.

Przychodzi rozczarowanie co do samej postaci Jadwisienki — Oleńki i co do jej roli w powieści. Obdarzona siłą nadnaturalną w mniemaniu własnem i w opinii ludu, ukazuje się ona na początku książki w mroku tajemnicy. Mrok ten później opada i widać, że jedyną pobudką jej czynów była żądza zysku. A przecież autor obiecywał nam więcej.

Zakończenie powieści wypadło sucho, Ani Boluk, ani jego dziadek nie przeżywają dość intensywnie chwili poznania.

Charaktery ujęte pobieżnie i ogólnikowo. — Wartość książki leży w jej epizodach. Z prostotą i wyrazistością maluje autor obrażenie z życia dzieci i ludu, z wydarzeń powstania styczniowego, z ostatniej wojny, choć są i szczegóły zbyt czyste.

W stylu znać troskę o zachowanie właściwości języka ludu i miejscowej wymowy.

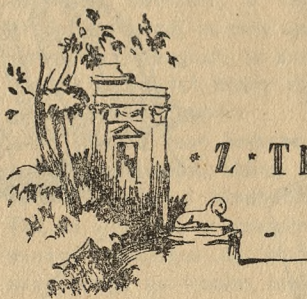
Marja Reuttówna, „Dla mojego Tatusia.” Dzienniczek Danusi, pisany w dniach najazdu bolszewickiego i okupacji litewskiej w Wilnie, w roku 1920, z ilustracjami *Zygmunta Dzieślewskiego*, Wilno 1922 r.

Książkę wydaną pod hasłem: „miłość buduje, a nienawiść niszczy” przenika duch humanitaryzmu, który każe wiele wybaczać winnym, miłować tych, co zblądzili, bo mogą się opamiętać. Idea unji Litwy z Polską rozjaśnia całe pole wydarzeń. Wobec gwałtów bolszewickich — smutek, ale nigdy nienawiść, ani chęć zemsty.

Dydaktyzm i tendencyjność książki, wyrażające się w sądach Cioci i młodej nauczycielki, panny Jadwigi nie szkodzą opowieści prostej i przez sam temat wzruszającej.

Język poprawny, ogólnoliteracki raczej, niż charakterystyczny, słabo wyraża indywidualność dziecka, choć rażących nieprawdopodobieństw w stylu dziewczynki niema.

Z. Szydłowa.



* Z * TEATRÓW *

TEATR POLSKI.

„Danton” Sztuka w 3-ach aktach *Romain-Rolland'a*. Przekład *J. Parandowkiego*. Reżyserja i inscenizacja *K. Borowskiego*. Dekoracje *St. Śliwińskiego*. Ilustracja *L. Rogowskiego*

Jeżeli zadanie krytyka teatralnego pojmujemy — jako obowiązek: odszukania w omawianej sztuce błędów kompozycyjnych, wytknięcia fałszywych momentów w ujęciu charakterystyki osób, lub wreszcie (gdy mowa o sztuce historycznej), [wykazania nieściśności w podawaniu faktów i wypadków historycznych — to nie ulega kwestji — że sztuka *Romain-Rolland'a* dostarczy nam tematu bogatego, ale taka właśnie praca będzie nad wyraz niewdzięczna i... zbyt czysta.

Nie możemy do omawiania „Dantona” przystąpić z skalpelem chirurga w rękę i ze zgrzyliwym grymasem belfra, który czerwonym ołówkiem koryguje wypracowanie historyczne ucznia. Sztuka *Romain-Rolland'a* została pożąta w ogniu potężnego natchnienia i ma w sobie coś z oslepiającej czerwieni Wielkiej Rewolucji, której grzmot odległy i groźny jeszcze dziś przewala się nad światem. Ma się wrażenie, że wielki autor francuski jednym, potężnym dźwięknięciem ramienia uniośł wieko czasu, które zapadło nad przeszłością i w krwawym płomieniu strasznych wypadków 1794 r. ukazał nam wykrzywione w gigantycznych pasjach twarze ówczesnych ludzi; przewodców i tłum, tych dwóch skrzydeł Wielkiej Rewolucji. Ujrzeliśmy tam olbrzymią postać *Dantona* o namiętnych oczach, o rysach zeszpeconych w walce zbykami w Hiszpanji; ujrzeliśmy subtelny, rozmarzony profil *Desmoulins'a*, młodzieńca o jedwabistych włosach i miękkich ruchach, stanął przed nami z zimnym, cynicznym uśmiechem *Robespierre* — podejrziwy i nieufny, wszędzie wężący zdradę, zamknięty w sobie, okrutny, wyrachowany, łamiący i depczący wszystkie instynkty ludzkie, działający

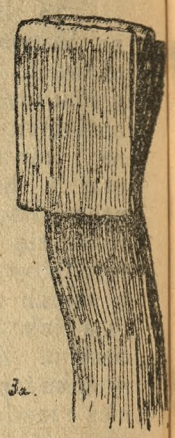
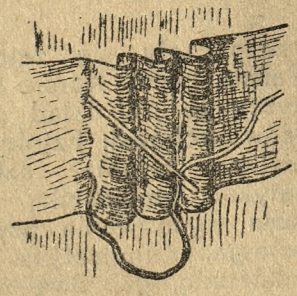
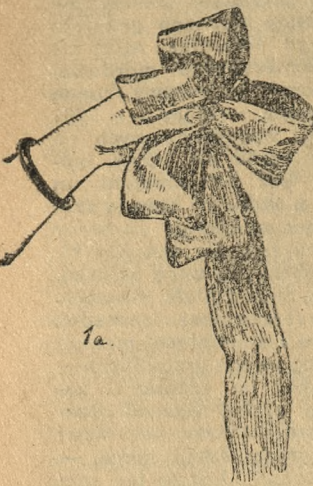
podstępnie i chytrze — on — głowa krwawego teroru. On! który będzie skazywać na śmierć z równym, cynicznym spokojem wrogów, których nienawidził i przyjaciół, którzy mu nie dogadzali. Zobaczymy męznego generała *Westermana*, nieugiętego żołnierza, który bił wrogów Francji i niemilosiernie mordował tchórzów we własnej armji. Usłyszymy dumną i spokojną mowę *Herault'a* — który w r. 1791 w pamiętnych słowach, wypowiedzianych na Zgromadzeniu porywał naród do wojny, mówiąc, że „la guerre est actuellement un bienfait national” — a którego krwawy trybunał rewolucyjny bezpodstawnie oskarżył o spisek z wrogami ojczyzny. Ale nade wszystko zobaczymy tłum! Zobaczymy ulicę paryską, roznamiętnioną, głodną, wynędzniałą, straszną. Posłyszemy wycie rozbawionej gawiedzi, miotającej przekleństwa i śpiewającej marsyljanekę, wynoszącej w górę swych przewodców — aby za chwilę roztrzaskać im czaszki i... zapomnieć. Przewala się przed naszymi oczami ta potężna lawina ludzi, którzy, jak mówi cyniczny *Vadier*, — „mają dobre serca, — ale jeszcze lepsze żołądki.” Jest to ten sam tłum, który wtargnął do *Wersalu*, spłądował komnaty królewskie, mordował gwardzistów przybocznych, a potem wśród radosnych wiatów wiodł króla wraz z rodziną do Paryża. Ten sam tłum, który za lat kilka będzie szaleć wśród entuzjastycznych okrzyków: „vive l'empereur.”

Nie ulega kwestji — że akt trzeci, w którym występuje na scenę tłum — jest aktem najlepszym, wstrząsającym do głębi duszą widza! Od początku do końca utrzymany jest w szalonym fortissimo, które tamuje oddech i zatrzymuje bicie serca. Akt trzeci jest odlany z brązu. Jest w nim szalone napięcie dramatyczne, gigantyczne zmaganie się namiętności, pasowanie się dusz ludzkich, wybuchy jasnej jak słońce szlachetności i podłego naigrwania tych, którzy mają za sobą przemoc. Jest tam namiętne, mocne ukochanie życia, które szumi jak szampan i jest odwaga wobec śmierci, ku której idzie się z hardo podniesioną głową, bez drgnienia powiek. I ten cały wybuch nieokiełznanych ludzkich natur — ma jako akompanjament daleki, potężny śpiew ulicy, zawrotny, porywający rytm pieśni i tupotu tysięcy bosych nóg: „Allons enfants de la patrie, Les jours de gloire sont arrivés.”

I rzecz ciekawa — akt trzeci, który jak mówiliśmy, jest koroną dramatu — nie ma w sobie nic, coby wywołało w widzu dreszcz zdenerwowania, czy niezdrowego rozczulenia. Przeżywa się potężne, dramatyczne wstrząśnienie — a w głębi duszy rodzi się półświadczone przekonanie, że „tak musi być — takie jest fatum, wiodące w nieuniknioną przepaść.”

Reżyserja i inscenizacja p. *Karola Borowskiego* święci zasłużony triumf, dekoracje p. *St. Śliwińskiego* w akcie trzecim — znakomicie potęgują wrażenie. Niezmiernie trudne role — były dla aktorów ciężką próbą sił. *Al. Zelwerowicz* dał postać świetną, jego potężny głos — rozsadał mury gmachu trybunału rewolucyjnego — a świetny gest demagoga, głowy rewolucji i adwokata prowincjonalnego w jednej osobie podkreślał znakomicie nieokiełznaną, potężną naturę pierwszego organizatora terroryzmu, a zarazem najświetniejszego wśród *Jakobinów* męża stanu. *St. Stanisławski* świetnie wczuł się w niezwykle trudną rolę *Robespierre'a*. Z dużym uznaniem należy podkreślić grę pana *Janusza Warneckiego* — w roli *Desmoulins'a*. Zresztą o każdym z aktorów należałoby mówić oddzielnie, gdyż każdy z nich włożył w swą rolę dużo pracy twórczej i najlepszą część swego talentu. I tylko na zakończenie pozwolimy sobie postawić pytanie: dlaczego umieszczono na programach mylną datę „rzesz dzieje się w Paryżu 1791 r.?” Przykra ta pomyłka zupełnie niepotrzebnie dezorientuje widzów.

UBIERAJMY SAME NASZE KAPELUSZE



Kapelusz duży, czy mały, świeżo kupiony fason filcowy, czy też zeszlóroczny, już trochę obnoszony ślicznie można ubrać, lub odświeżyć, dodając mu kokardę, albo upięcie z odpowiednio dobranej wstążki, tem bardziej, że wstążka jest ulubioną ozdobą tegorocznych kapeluszy i żaden prawie bez niej obejść się nie może.

Podajemy kilka sposobów ułożenia wstążki, które, przy odrobinie zręczności każda z naszych Czytelniczek doskonale sama wykonać może.

Więc przedewszystkiem duża kokarda, złożona z kilku, lub nawet kilkunastu równych pukli (rys. 1.), odpowiednia zarówno do dużych fasonów, jak do małych,

Na taką kokardę najlepiej wziąć wstążkę średniej szerokości (11 do 12 cnt.) w dobrym gatunku, ale niezbyt sztywną. Lewą ręką ująć koniec wstążki i układać równe pukle, jeden ku górze, drugi ku dołowi, składając środek trzymany w rękę w drobne fałdki (rys 1a). Po ułożeniu pukli, których ilość jest zależna od tego, jak duża ma być kokarda, należy miejsce ujęte w rękę i ułożone w fałdki mocno okręcić dwa razy końcem wstążki, przelożyć go przez ostatnie okręcenie i przyciągnąć.

W ten sposób ułożoną, bez klucia i cięcia wstążki, kokardę przyszyć kilkoma dużymi ściegami do kapelusza, najlepiej z przodu i dosyć wysoko, bo tak chce dzisiejsza moda.

Drugi sposób to otoczenie kapelusza, wstążką, ułożoną w drobne pukielki (rys. 2.). Układa się je już nie w rękę, a wprost na główce kapelusza, wysokie na 1 do 2 cnt. i przyszywa jedwabiem odpowiedniego koloru (rys. 2a), pozostawiając pomiędzy nimi kawałek gładkiej wstążki.



Niemniej szykownie wygląda, przypięty na czubku główki, szereg równych, płaskich pukli, zupełnie nie marszczonych, ze wstążki szerokiej na 6 do 7 cnt, najlepiej rypsowej, lub morowej. Pukli takich trzeba ułożyć dużo, aby osiągnąć efekt, jak na rys. 3. Układa się je w rękę, zeszywając ze sobą dolne ich części (rys. 3a).

Rysunek 4 pokazuje kapelusz, przybrany szeregiem naszytych, spiczasto zakończonych wstążeczek.

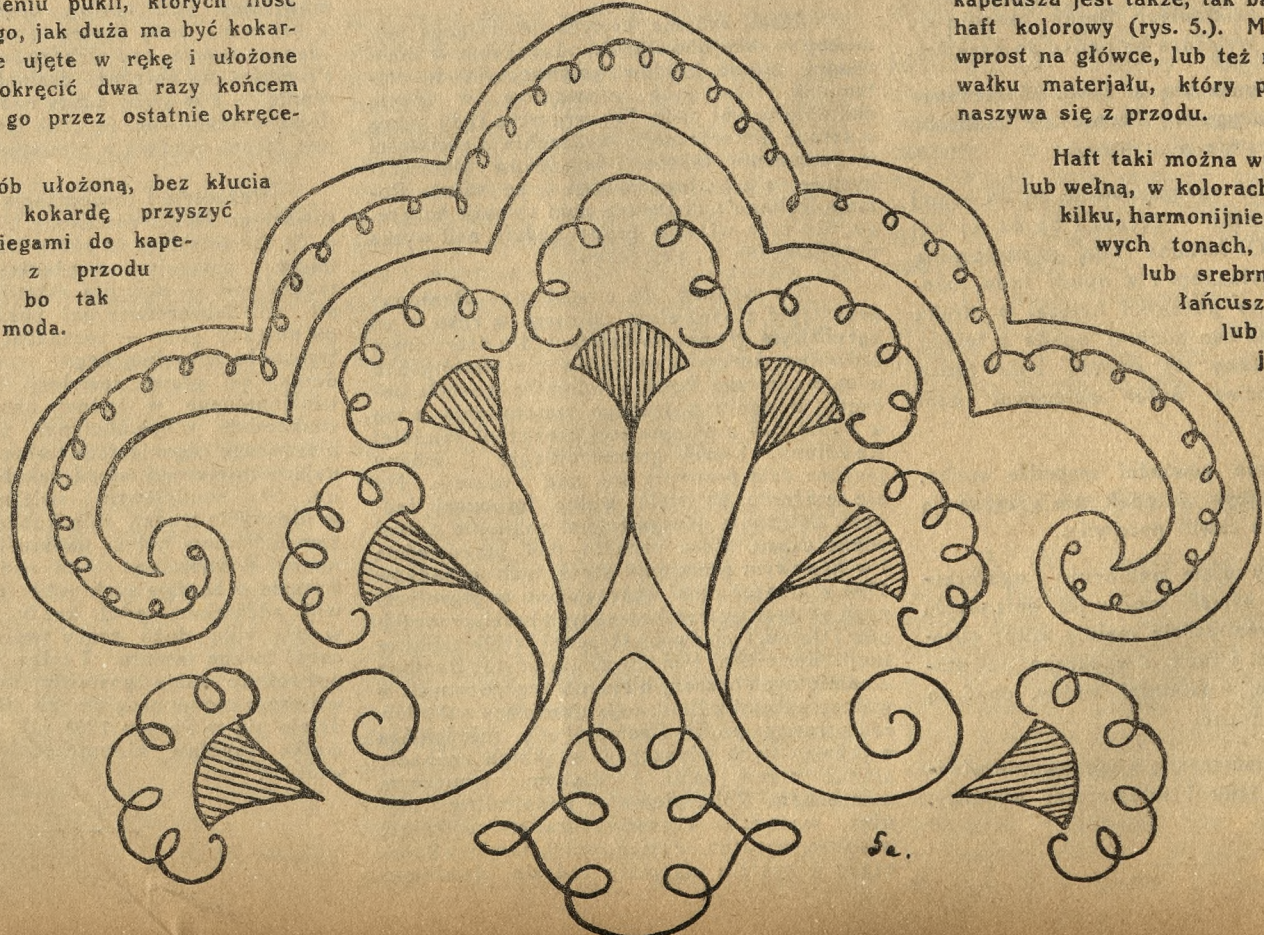
Koniec wstążki, równo złożonej na pół należy zeszyć mocno i odwróciwszy szwem do środka, zaprasować równy rożek (rys. 4a).

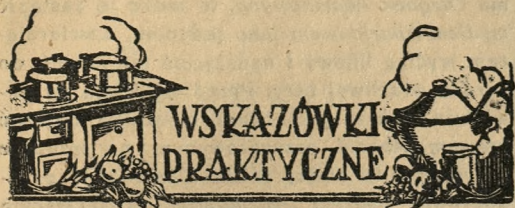
Tak zakończone kawałki wstążki ułożyć na główce w równych odstępach, przyszyć na czubku i w miejscach, gdzie główka schodzi się z rondem, a drugi koniec założyć pod rondko, aż do miejsca, gdzie się wszywa wreczek.

Ladnym i efektownym wykończeniem kapelusza jest także, tak bardzo dziś modny, haft kolorowy (rys. 5.). Można go wykonać wprost na główce, lub też na oddzielnym kawałku materiału, który potem jak kłamerkę naszywa się z przodu.

Haft taki można wykonać jedwabiem lub wełną, w kolorach jaskrawych, lub kilku, harmonijnie dobranych pastelowych tonach, z dodaniem złotej, lub srebrnej nitki, ściegiem łańcuskowym, pocztowym, lub po prostu, układając grubą nitkę wełny wzdłuż ry, sunku przyszyć, ją poprzecznie ściegami nitką innego koloru.

Mam nadzieję, że tych kilka wskazówek przyda się Szanownym Czytelniczkom, i że niejedna spróbuje swej zręczności i sama prześlicznie w bierze sobie kapelusz.





I.

PRZYJĘCIE.

Umiejętność przyjmowania gości jest cechą niestety bardzo rzadko spotykaną.

Aby ludzie, których u siebie gościmy, wynieśli z kilku spędzonych w domu naszym godzin, coś więcej prócz posmaku lepiej, lub gorzej udanych potraw, trzeba koniecznie, aby w sposobie przyjęcia ich wyczuli — prócz kulinarnego i duchowy element, emanujący, najczęściej z szczerą chęcią dania z siebie najlepszej cząstki.

Od pani domu bezwzględnie zależy wniesienie swobodnej, wesołej nuty. Jeżeli w dodatku otoczenie miłe dla oka i podnoszące nastrój, przyjdzie jej z pomocą, przy subtelnej inteligencji i kulturze umysłu i ducha, najskromniejszymi środkami, powoła do życia niezapomniane chwile.

Uwaga, baczną na wszystkich i wszystko, nie może opuszczać pani domu ani na chwilę. Jeżeli grupy potworzyły się same, a ożywiona rozmowa nie wymaga podniety, można wymknąć się dyskretnie na chwilę, aby rzucić okiem, po raz ostatni na całokształt przygotowań. Wszystko jednak winno być pomyślane i przygotowane, tak, aby szło, jak z płatka i ani na chwilę nie pochłaniało pani domu, która, szczególnie jeżeli wśród zgromadzonych są starsze osoby, musi od czasu, do czasu poświęcić im chwilę swobodnej rozmowy. — Pani domu musi nie zapominać o tem, że odosabniać się z miłszymi jej, nad innych na dłuższe pogawędki, tak jak wogóle zaznaczać swoje sympatje, wyróżniając gości — nie wolno. Trzeba też zwrócić uwagę na ubiór swój, unikając, w swoim domu, zbytowego wystrojenia, którem nieraz skromniej ubranych gości w kłopot się wprawia.

Po umiejętnem skojarzeniu kółek i kółeczek nadchodzi kulminacyjny punkt każdego zebrania. Pokłon z mniejszem, lub większem przyjęciem, oddany Jego-Królewskiej Mości Podniebieniu!

Pierwszy warunek nastroju i łaskawego usposobienia dla jakości potraw — jest bezwzględnie stół! Stół nakryty starannie i estetycznie przystrojony kwiatami — odpowiednio oświetlony, z nieodzownym wołokiem podłożnym pod obrus, aby miękkość podłoża wszelki brzęk nakryć tłumiała!

Stół z przekąskami długi — z dostępem wszechstronnym, aby każdy po cząstkę swą wygodnie i bez przeszkód sięgnął, najładniej, gdy jest oświetlony światłem, umieszczonych na dwóch szczytach świeczników. Drobiazgowo omawianie doboru potraw i zakąsek, byłoby tu nie na miejscu. Pamiętać trzeba, aby one niczem nie raziły, tak w jakości, jak i porządku, w którym po sobie postępują. Są szeregi potraw eleganckich w południe, a niecenzuralnych wieczorem i odwrotnie. Włączenie np. flaków do zakąsek podanych przed kolacją — woła o pomstę do nieba,

gdy też same w okresie drugiego śniadania będą zupełnie na miejscu.

Ważną i odpowiedzialną czynnością jest usadowienie biesiadników. Trzeba się tu kierować należnymi względami przy obsadzaniu pierwszych miejsc, i sympatjami w doborze sąsiadów. Najprostszym sposobem jest rozmieszczenie bilecików z nazwiskami przy nakryciach, bacząc przytem, aby czyjaś niepowołana dłoń ich nie pozmieniała. Wychodzą z tego nieraz konflikty pożałowania godne. Pamiętam, jak na licznym, imieninowym przyjęciu, czyjaś złośliwość usadowiła zdobywcę serc, pomiędzy mającą realne prawo do jego względów damą, a panną, z którą sympatyzował ku oburzeniu pierwszej. Dysonans zbyteczny i niemiły. Kiedy już goście przy pięknie nakrytym stole odpowiednio są usadowieni, pozostaje jeszcze ważna kwestja usługi, która powinna być cicha, składna i umiejętna, aby nie psuła nastroju.

Czarna kawa, zwykle podawana w salonie, gromadzi jednak często tych i te, którzy pragną wspólnie pałac pogawędzić w jadalni. Trzeba wtedy usunąć ze stołu wszystko, co robi go podobnym do pobojuwiska, nadać mu ponowną świeżość, a samej starać się podtrzymać nastrój między tymi, co nie palą, nie gawędzą i nie grają w karty, a stosownie do swego wieku, tak łatwo stają się ociężałymi po rozkoszach stołu.

Ważną jest jeszcze kwestja służby — na wsi stangretów, którzy są nieraz nakarmieni z karygodnem niedbalstwem i skąpstwem! Tak na wsi, jak w mieście służba przygotowująca i podająca do stołu powinna dostać wszystkiego po trochu, inaczej wezmą za plecami sami i podsycą się w nich zupełnie zresztą zrozumiałą niechęć i gorycz.

Przyjęcie umiejętnie zorganizowane we wszystkich, najmniejszych szczegółach — zaszczytnie świadczy o poziomie pani domu, a pozostawiając zgromadzonym niezatarte i wdzięczne wspomnienie, daje dużą dozę osobistego zadowolenia.

Stosunki z ludźmi są w życiu rzeczą nadzwyczaj cenną, a lekceważenie drugich odosabnia nas i stwarza trudną i smutną egzystencję. Przyjaźń i życzliwość ludzka to wielka siła i atut życiowy, zdobyć ją i utrzymać jest jednak umiejętnością, której wiele trudów poświęcić trzeba!

W. D.

II.

JESIENNE PIELEGNOWANIE ROŚLIN
POKOJOWYCH.

W jesieni vegetacja większości roślin pokojowych słabnie. Z chwilą zaopatrzenia okien na zimę i zamknięcia balkonów przypływ świeżego powietrza się zmniejsza i rośliny mają coraz gorsze warunki egzystencji. Szczególniej w mieszkaniach z centralnem ogrzewaniem powietrze jest dla nich za suche, gorzej jest jeszcze w mieszkaniach z oświetleniem gazowem, zawsze pewna ilość gazu się ułatnia, a tego wszystkie rośliny nie znoszą, chorują i marnieją.

Opieka nad roślinami jesienią powinna być skierowana ku pewnemu ich zahartowaniu, a zatem przede wszystkim roślinom silnie pędzącym i wybujałym pożytecznie jest przecinać wierzchołki i końce gałązek, potem coraz rzadziej je podlewać. Podlewanie należy w ogólności wykonywać bardzo ostrożnie, gdyż

przez nadmiar wody korzenie roślin gniją — czynają i roślina ginie.

O ile latem, przy silnej vegetacji i ciepłej roślinie zużywa dużą ilość wody i codziennie raz, a niektóre dwa nawet razy podlewane być powinny, o tyle w jesieni należy ograniczyć to polewanie do chwili, kiedy wilgoć zupełnie została wyczerpana nie tylko z powierzchniowych, lecz i z głębszych warstw ziemi, co się poznaje łatwo, pukając w doniczkę. Gdy ziemia przeschnie, głos jest dzwięczny.

Wszelkiego zasilania roślin sztucznymi nawozami, opilkami rogowemi i t. p. też zaprzestać należy, gdyż rośliny nadto wybujałe źle znoszą ciężkie, zimowe warunki bytowania. Należy natomiast jak można częściej, przynajmniej raz na tydzień oczyszczać je z kurzu.

Rośliny o drobnych liściach najlepiej obficie skropić wodą o temperaturze pokojowej, za pomocą pulweryzatora lub zwykłego kropidła do bielizny; rośliny o dużych liściach obciera się gąbką, zwilżoną czystą wodą.

Czystą wodą — powtarzam — gdyż widziałam sama panie, kochające czystość, które myły swoje latawie i filodendrony, chameropsy i fikusy wodą z mydłem i dziwiły się, że przy takich staraniach ich ukochane kwiatki marniały. Światła jak najwięcej roślinom jesienią dawać należy, po założeniu firanek w pokoju jest go już za mało, drobniejsze więc wazonny należy poustawiać na oknach, większe egzemplarze roślin możliwie blisko okien poustawiać i chociaż na godzin kilka uchylać zupełnie firanki, chociażby na nieliczne jesienią godziny słoneczne.

Amatorowie kwiatów cebulkowych mogą jesienią sami sobie plantować cebulki hjacyntów, tulipanów, narcyzów, żonkili i krokusów. Szczególniej miłe do hodowania są hjacynty. Doniczki niezbyt duże, starannie wymyte i wysuszone w piecu, należy do połowy napełnić czystym piaskiem (na otworek w dole doniczki kładzie się kawałek rozbitej doniczki, aby z wodą razem piasek nie wypływał). Doniczkę dopełnia się dobrą ziemią ogrodową, w to się wsadza cebulkę hjacyntową w taki sposób, aby wierzchołek był ponad ziemią. Z grubego papieru opakunkowego robi się wąskie tutki, skleja je lub zapina szpilkami, każdą cebulkę pokrywa taką tutką, aby światło zupełnie do niej nie dochodziło, ziemię zwilża lekko wodą i wstawia doniczki do piwnicy, spiżarni chłodnej, jakiego korytarza — w ogólności miejsca chłodnego, lecz gdzieby mróz nie dochodził.

Polewać doniczek więcej niż raz po posadzeniu nie należy. Cebulki wypędzą grubą kity z liści i pąka kwiatowego się składającą. Gdy ta wyrośnie na jakie pięć cali, możemy doniczki przenieść w cieplejsze miejsce, i zacząć podlewać wodą pokojowej temperatury: tutki papierowej jednak nie zdejmować, dopiero gdy roślina wyrośnie do połowy normalnej wysokości, tutkę się usuwa i roślinę pozwoli przyzwyczajać do światła. Zieleni ją i rozkwitają w ciągu tygodnia do dziesięciu dni. Mając większy zapas posadzonych hjacyntów możemy zaraz po kilka doniczek przenieść z chłodu w ciepło i pędzić je, aby mieć zawsze kwitnące.

Z tulipanami i narcyzami zupełnie się tak samo postępuje, sadi się ich tylko po kilka cebulek do jednej doniczki, — wszakże przy tem należy, uważać aby wszystkie cebulki były jednego gatunku i mogły jednocześnie zakwitnąć.

Pani Elżbieta

III.

GOŁĘBIE NA PIECZYSTE.

Gołębie najsmaczniejsze są młode, wprost z gniazda, zupełnie już opierzone, lecz jeszcze nie latające. Po zarżnięciu należy je oskubać, opalić i wypatroszyć, usuwając koniecznie wodę, natomiast żołądek, wątróbkę i serce wkłada się napowrót do środka. Każdego gołąbka zawinąć w duży, cienki plaster słoniny (najlepiej wędzonej), ułożyć w rondlu lub garnku, ze wszystkich stron zarumienić, potem osolic, włożyć kilka ziarn pieprzu, kilka jagód jałowcu, listek, podlać rosołem lub wodą, aby objęło i dusić. Gdy płyn się wydusi a ptaszki będą miękkie, gołębie wyjąć, rozrąbać na dwie połowy i przechować w ciepłe. Sos zaprawić mąką rozbitą z wodą, stosować do ilości gołębi, uważając aby sos był zawieszony, zaprawić parą łyżkami kwaśnej śmietany, dziesięciu kroplami ekstraktu „Maggi”, odrobina tłuczonego pieprzu. Pokrajać bułkę na zgrabne grzanki, licząc po dwie grzanki na każdego gołąbka, zrumienić na maśle, ułożyć na półmisku; na każdej grzance położyć po pół gołąbka, osypać żołądkami, wątróbkami, przykryć każdy kawałek plasterkiem zrumienionej wraz z gołąbkami słoniny, polać obficie sosem i podawać z kompotem, borówkami lub ostrą sałata z sliwek, gruszek i t. p. Starannie przyrządzone mogą zastąpić dzikie ptactwo.

IV.

POTRAWKI z GOŁĘBI.

Gołębie oskubane, opalone i umyte, patroszy się, układa w rondel z włoszczyzną, jak na rosół, — wody powinno być tylko tyle, aby gołębie były pokryte, — gotuje się aż gołębie zmiękną. Z bułki lub chleba białego smaży się taką ilość grzanek, aby pokryć cały brzeg półmiska, w środek się układa pokrajane na ćwiartki gołębie i ich podróbkę. Włoszczyznę się odrzuca, rosół się zaprawia mąką rozbitą z wodą, zagotowuje, dodaje parę żółtek rozrartych z mlekiem lub wodą, szczyptę utłuczonego kwiatu muszkatelowego, ogrzewa tylko mocno, aby się żółtka nie zważyły i gorącym zalewa gołębie. Zamiast grzanek można półmisek obłożyć rantem z ryżu, ugotowanego na sypko z masłem.

Pani Elżbieta.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 41

541. Płaszcz z brązowej wełny, kołnier i mankiety aksamitne, kapelusz z filcu brązowego, otoczony aksamitką.

542. Okrycie z czarnej tafty, wykonane falbaneczkami. Kapelusz czarny, aksamitny z białą morową kokardą.

543. Suknia jedwabna, przybrana haftem i lamowana materją koloru odpowiedniego do haftu.

544. Skromna suknia z granatowej gardyny, przybrana plisą haftowaną, lub galonem kolorowym.

545. Suknia dla młodej panienki. Przód odcięty, układany w duże fałdy. Przybranie z taśmą jedwabnej.

546. Suknia wełniana z kieszeniami, przybrana szlakiem haftowanym. Kołnier wyłożony jasnym sukmem.

547. Płaszcz z pelerynką dla dziewczynki od lat 8 do 10.

548. Suknia z fioletowej popeliny z falbanami z przodu, przybrana haftem.

549. Skromna suknia wełniana, naszywana waziułką, jedwabną plecionką.

550. Kostjum sukieny, przybrany wąską taśmą. Kołnier fokowy.

551. Jesienny płaszcz z materiału, w dużą kratę.

552. Skromny kostjum jesienny, przybrany plisą z materiału i guzikami,

553. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 8. Spódniczka aksamitna, bluzka z jasnej popeliny, zmarszczona w dole na szeroką gumę.

554. Wizytowa suknia jedwabna. Rękawy i przód z deseniowego crepe marocain.

555. Wzór na ekran. Tło czarne, lub szare.

Nadesłane do Redakcji

„Wiadomości Literackie“ proszą nas o zaznaczenie, że z powodu strajku drukarskiego nr. 49 pisma ukaże się z opóźnieniem.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Zbliżająca się jesień, a z nią zmiana temperatury, słońce i zimne, wilgotne wiatry, zwykle wywierają ujemny wpływ na cerę. Postaram się dać tutaj kilka ogólnych wskazówek, jak uchronić twarz i ręce od wpływu szkodliwych i niepożądanych zmian w naszym klimacie.

Ważnym jest, żeby pory skóry były dobrze oczyszczone, dlatego twarz powinno się myć *Otrąbkami Abaridowemi*. Jeżeli ktoś nie

ma *Otrąbek Abaridowych*, to może je zastąpić *mydłem Abaridowem* jako jedynym, zawierającym wyciąg liljowy i nadającym się nawet do bardzo wrażliwej cery. Przed wyjściem na powietrze dobrze jest twarz cieniutko natrzeć *kremem Abarid*, przygotowanym na miodzie i wyciągu lilji białej (*Lilja Candida*) i przypudrować *puddrem Abaridowym*, zawierającym domieszkę subtelnie mielonych cebulek tejże lilji.

Bardzo wskazaniem jest codzienne wieczorem myć twarz w ciepłej wodzie *Otrąbkami Abaridowemi* i wetrzeć odrobinę *kremu Abaridowego*, a uniknie się szorstkości i łuszczenia się skóry.

Jeżeli cera jest tłusta, to do mycia do wody dodawać jedną *pastylkę alkaliczną*, a oprócz tego trzeba stosować płyn *pureol*, który odtłuszcza cerę i usuwa tak zwane wągry. Jeżeli wągry są uporczywe, to jednocześnie z płynem *pureol*, trzeba stosować *masażystkę Heros*.

Niemniej ważną jest rzeczą, aby przy ładnej cerze usteczka odcinały się żywo, gdyż nadaje to twarzy młodzieńczy wygląd.

Używane do tego pomadki tłuste, nie zupełnie się nadają, gdyż łatwo się ścierają, plamią i często mają nieodpowiedni kolor. Radzę więc stosować płyn *Rosein*, który barwi trwale, nadając ustom zupełnie naturalny kolor, nie zmywa się i nie plami, tak że nikt nie jest w stanie poznać, że na wargach jest cokolwiek sztuki. W ładnych, świeżych usteczkach pierwszorzędną rolę odgrywają ładne, białe zęby. Nie wszyscy je mają takie od natury. Aby szerniały, żółte, lub zaniedbane zęby doprowadzić do porządku, trzeba je myć *proszkiem Albol*, przy użyciu którego zęby nabierają śnieżnej białości i nie czernieją nawet przy paleniu papierosów. Jeżeli cera z lata została opaloną i ciemną, a chcemy ją wybielić, to radzimy stosować *krem preciozę i pyłek Juvenia Candida*, który bardzo szybko wybiela cerę twarzy, szyi, ramion i biustu. Zostają jeszcze włosy, które najwięcej sprawiają kłopotu swoim właścicielkom, gdyż mycie ich jest jesienią i w zimie kłopotliwe i ambarasowne. Otóż aby uniknąć częstego mycia włosów, radzę używać *puddru Florentin*, którym na suche w ciągu kilku minut oczyszcza się i odtłuszcza włosy, tak że mycie staje się zbytecznym. O ile włosy wypadają i mają łupież, to *Tetra* wcierany 2 — 3 razy na tydzień te dolegliwości usunie, a swędzenie skóry i łupież ginie już po paru użyciach. Najwięcej od chłódów cierpią ręce, które robią się szorstkie i czerwone. Aby nadać ręką aksamitną delikatność, radzę używać *pâte de prelats*, który nawet najbardziej zniszczone ręce w parę dni doprowadza do należytego wyglądu, a dla zapobiegnięcia czerwoności rąk i wybielenia radzę stosować wybielający pyłek *Juvenia Candida*.

Stosując wszystkie te zabiegi, unikniemy przykrych następstw zimy i zachowamy ładną cerę i świeży młodzieńczy wygląd.

Jeszcze jedna uwaga. *Krem Abarid*, stosowany stale, usuwa zmarszczki i zapobiega tworzeniu się nowych.

M-me Erceles

Wszystkie tu wymienione środki nabywać można w pierwszorzędnym perfumerjach i drogerjach.

Skład główny:
Warszawa, Szpitalna 10
„PERFECTION“

Kooperacja Pszczelarzy
przy NACZELNYM ZWIĄZKU Tow. pszczelarskich
„BARC“ w Warszawie, ul. Miodowa 14,
w podwórzu, tel. 62-38.9
z nadstawkami i deskami ogrodowymi.
różnych systemów. **MIODARKI PODKURZACZE,**
KRATÓWKI i różne przybory pasteczne.
WĘŻE sztuczną z czystego pszczelnego wosku za gotówkę i wymienia za 1/3 wosku.
Kupuje miód, wosk i przyjmuje do komisowej sprzedaży.

DORAŻNA POMOC
Lekarzy Specjalistów
w Warszawie
„AUXILIUM“
Czynna w dzień i w nocy bez przerwy
tel. 403-50. Udziela niezwłocznej pomocy lekarskiej przez lekarzy wymaganej specjalności w mieszkaniu chorych lub w gabinetach lekarzy KONSYLJA
222 Biuro Centrali ul. Żórawia 33.

„EWARYST”

Marszałkowska 114

TELEFON: 30-17. 224-68.

WIELKI WYBÓR PERFUM
KOSMETYKI I FARB FRAN-
CUSKICH DO WŁOSÓW.

268

TOWARZYSTWO AKCYJNE

„J. FRANASZEK — WARSZAWA”

istnieje od roku 1829

ul. Krakowskie Przedmieście № 15, telefon 1-72.

OBICIA PAPIEROWE

(tapety)

od najskromniejszych do najwytworniejszych.

269

L. BRZozowski i W. ROMOCKI

ALEJA JEROZOLIMSKA 24 M. 14.
(parter wprost bramy).

Polecają swoją pracownię Ubior-
rów męskich i damskich, gdzie
można się ubrać za gotówkę
i NA RATY.

!!CENY KONKURENCYJNE!!! 276

QUAKER OATS



oryginalne płatki owsiane dla
dzieci, chorych i rekonwalescentów,
niezmiernie pożywne i lekko strawne

SPRZEDAŻ HURTOWA

TOW. AKC.

LAMBERT i KRZYSIAK

WARSZAWA, ul. NIECAŁA № 8.

228

MASZYNY DO SZYCIA



znanej dobroci „KASPRZYCKIEGO”
Tanio—Hurtowo—Detalicznie
RATY.

Skład Fabryczny
THE KASPRZYCKI COMPANY

WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 153 TEL 104-51

Oddział: Częstochowa, Aleja 43.

ZAMAWIAĆ MOŻNA LISTOWNIE W WARSZAWIE.

KAPELUSZE

WYKWINTNE,
skromne, z własnych
i powierzonych ma-
terjałów, oraz przeróbki. Modniar-
stwa wyuczam paryskim skróconym
systemem KRÓLEWSKA № 8 m. 3.

279

ANTONI
WYPYSZYŃSKI

SZEWC TEATRALNY

NIECAŁA 5.

266

Polecamy doskonałe mydło
przeciw łupieżowi



TOW. AKC.

„Fr. Karpiński”
W WARSZAWIE.

256

MAGAZYN MÓD

S. BAŃKOWSKIEJ

Warszawa,
ul. Chmielna 12.

POLECA:

Najświeższe fasony kapeluszy, sukien, bluzek

DUŻY WYBÓR

CENY UMIARKOWANE.

PRZY ANEMJI I OSŁABIENIU

PIG. CHLOROFILOWE
GESSNERA

115

preparat roślinny, pobudza
apetyt i wzmacnia organizm.

W. JANISZEWSKI i S^{KA}

W A R S Z A W A,

NAJLEPSZE ŹRÓDŁO ZAKUPÓW

DOSKONAŁY KRÓJ I WYKOŃCZENIE

CENY MOŻLIWIE NISKIE

MARSZAŁKOWSKA № 145

W i e l k i
W Y B Ó R G O T O W Y C H

P i ę k n y
D O B Ó R F A S O N Ó W

S U K N I E
K O S T J U M Y
O K R Y C I A ²⁵⁴

OBUIE
MĘSKIE,
DAMSKIE

poleca:



C. GADZIŃSKI, S-to Krzyska 5, w podwórzu.

UWAGA: Powiększone wzory robót i formy bibułkowe sukien, podanych w dodatku mód, nabywać można w Administracji „Bluszczu“.

Przy zamawianiu form należy wymienić wielkość (I. II. III. lub IV), podług której forma ma być przykrojona.

TABELKA PRZECIĘTNYCH MIAR

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy uskuteczniać na blankietach czekowych P. K. O.

Z dniem 1 paźdz. r. b. ceny ogłoszeń jesteśmy zmuszeni podnieść o 100%. Nowe ceny uwidocznione są poniżej. Mimo podwyżki—ogłoszenie w „Bluszczu“ pozostaje nadal najtańszą i najkorzystniejszą reklamą.

PRENUMERATA „BLUSZCZU“

z przesyłką pocztową
WYNOŚI

rocznie 48 zł. — gr.
kwartalnie 12 „ — „
miesięcznie 4 „ — „

Zagranicą:

miesięcznie 8 zł. — gr.
zmiana adresu — „ 30 „

CENY OGŁOSZEŃ:

Cała strona 180 zł. — gr.
 $\frac{1}{2}$ „ 104 „ — „
 $\frac{1}{4}$ „ 60 „ — „
 $\frac{1}{8}$ „ 32 „ — „
 $\frac{1}{16}$ „ 18 „ — „
 $\frac{1}{24}$ „ 12 „ — „

Za tekstem o 50% drożej.

Ogłoszenia firm zagranicznych o 50% drożej.

Od cen powyższych żadnych opustów się nie udziela. Za terminowy druk ogłoszeń

Administracja nie odpowiada.

Każda nowa podwyżka taryfy obowiązuje wszystkie już przyjęte ogłoszenia od dnia zmiany cen bez uprzedniego zawiadomienia.

Ogłoszenia mniej niż na $\frac{1}{4}$ część strony przyjmuje się tylko za gotówkę. O ile ogłoszenie drobniejsze ma być powtarzane, za każde trzy razy należy wnieść należność z góry.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Warszawa, Pałac Staszycy Krak.-Przedm. 2,
Koło Polek, telefon 239-40.
Konto czekowe P. K. O. Nr. 3700.

Porady kosmetyczne.

Z. Łuk. Jakiś czas nie należy myć twarzy mydłem. Zamiast mydła „Otrąbki dr. Tasso.“ Dobrze tylko świeże. Cera przestanie się łuszczyć. Twarz smarować kremem „Salome.“

Pani M. L. Do mycia należy używać mydła alkalicznego, albo lepiej jeszcze „Perełek alkalicznych“. Myć w ciepłej wodzie, wągrzy znikną.

Srefan Br. w Poz. Od łupieżu i wypadania włosów znakomitym środkiem jest ang. płyn „Bisare.“ Myć głowę co tydzień. Zofji K. „Petunja“ od piegów oraz krem „Salome“ wyślemy.

Osoby pragnące zasięgnąć informacji w tej sprawie proszę o zwracanie się do mnie pod adresem redakcji „Bluszczu.“

270

Dr. Roemer.

SKŁAD FUTER i KONFEKCIJ FUTRZANEJ FELIKSA KIZYK

WARSZAWA

Marszałkowska 119 — tel. 155-86.

Magazyn Konfekcji Damskiej WŁADYSŁAWA ISUDYK

Przyjmuje zamówienia terminowe z powierzonych materiałów na swetry, bieliznę i t. p.

!!Robota wykwińska!!

Wykonanie solidne i punktualne.

Warszawa, Nowy - Świat 12.

Pracownia przy sklepie.

OGŁOSZENIA

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU“: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA“, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ, T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp. — Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA — Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA“ — Długa 9 i l. BUCHWEITZ — Marszałkowska 107.

Wydawca: Tow. Zakładów Graficznych „KOŁA POLEK“.
Sp. z Ogr. Odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA
Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 2. Tel. 239-40

Druk Zakł. Graf. „KOŁA POLEK“ Nowy-Świat 8-10.